

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 109.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 671 pół.

Warszawa, 26 października 1861 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3,
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Józef Muczkowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Wycieczka do Gdańska przez Deotymę (z sześcioma drzeworytami) ciąg dalszy. — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Zwyczaj, zabobny i obrzędy ludu w niektórych okolicach w. ks. poznańskiego. — Szachy. — Rebus. — Kto winien komedya w dwóch aktach (dokończenie). — Wynalazki i ulepszenia. — Komunikacye, przemysł i handel. — Dopełnienie artykułu o Kamieniu podolskim. — Korrespondencya od redakcyi.

Józef Muczkowski.

Trzy lata już ubiegły od zgonu zasłużonego tego pisarza. Dnia 31 lipca 1838 r. Muczkowski, chcąc uzupełnić notaty do opisu kaplicy jagiellońskiej, który dla towarzystwa naukowego krakowskiego wykończył, wyszedł z domu o szóstą rano, wszedł na Wawel do katedry, i wstąpiwszy na parę stopni pomnika grobowego Jagielly, porównał i uzupełnił zdjęty napis. Wyszedłszy na podwórzec zamkowy, przy odczytaniu znalazł wątpliwość w jednym wyrazie; wrócił więc, i gdy w témże samém miejscu stanąwszy, wspiał się nieco dla lepszego odczytania, dotknięty uderzeniem apoplektycznym pada i uderza się tyłem głowy o róg kamiennego grobowca.

Pusty był kościół i kaplica. Muczkowski z głęboką raną w głowie, utraciwszy przytomność, leżał czas długi bez ratunku; zanim go świętnik dostrzegł, już wszelka pomoc była późna i daremna.

„Zmarł, jak na żołnierza przystało, na swoim stanowisku, (mówi jeden z pisarzy krakowskich); zmarł u stóp grobowca Władysława Jagielly, którego postać za życia była mu z całych dziejów naszych najbardziej ulubioną; zmarł jak Zygmunt nasz Stary, który w téjże katedrze, nie daleko grobowca jaki sobie wystawić kazał, modląc się dłużej nad godzinę, ażeby umysł starością zmordowany nadzieją pewnego zmartwychwstania pokrzepił, gdy właśnie te wymawiał słowa Hioba: „wiem że Zbawiciel mój żyje,“ apopleksyą ruszony upadł i wkrótce w komnacie swój skonał.“

Józef Muczkowski urodził się dnia 17 marca 1795 roku we wsi Maszki, w dawnym województwie lubelskim, z rodziców ubożego stanu, Marcina i Katarzyny z Drelanków. Otrzymał w domu pierwsze nauki początki, od r. 1803 do 1812 przechodził szkoły normalne, gimnazyalne, a następnie, po utworzeniu ks. warszawskiego, szkoły departamentowe w Lublinie. (*) Utracił najprzód matkę, a potem na początku 1810 r. i ojca, bez żadnej opieki i pomocy

sam sobie zostawiony, pomimo ciężkiej niedoli, zdołał ukończyć szkolne i uniwersyteckie nauki, a trudniąc się obok tego wychowaniem swego młodszego brata Antoniego, (**) podał mu sposobność nabycia wyższego ukształcenia, kiedy ciężko zapracowanym groszem ułatwił mu możność uczęszczania na uniwersytety we Wrocławiu i Berlinie.

Szkoły ukończył w r. 1812. Radość z otrzymanego patentu krótką była, zakłóciła ją bowiem boleść z powodu straty brata starszego Franciszka, nieodłącznego towarzysza lat dziecińczych i wspólnej niedoli.



JÓZEF MUCZKOWSKI. (Rysował Polkowski, podług litografii Fajansa.)

W tym czasie udał się do Krakowa, w celu dalszego kształcenia się naukowego. Zapisał się w poczet uczniów wydziału filozoficznego, na który przez pół-

(**) O zasłużonym Antonim Muczkowskim, zmarłym roku 1852, pisałem obszernie w *Cmentarzu powązkowskim*, T. 2. str. 126.

czwarta miesiąca pilnie uczęszczał. Były to czasy pełne zapału wojowniczego. Straszliwa klęska Napoleona W. podniecała jeszcze więcej młodzież naszą: marzyła ona poetycznie, że kolos potęgi szczęśliwego dotąd zwycięzcy, zgruchotany przy łunie pożaru Moskwy, jeszcze się dźwignie z upadku i nową aureolą sławy uwieczny jego skronie.

Młody Muczkowski, gorący wielbiciel pracy naukowej, nie mógł się jednak oprzeć powszechnemu zapałowi. W połowie stycznia 1813 r. rzuca mury akademii jagiellońskiej i wstępuje jako ochotnik w szeregi wojsk księstwa warszawskiego, do pułku ułanów gwardyi cesarza Napoleona.

Dotrąwszy wiernie na raz obranem stanowisku, odbył kampanie 1813 i 1814 r. w Niemczech i we Francyi.

Po pamiętnej bitwie pod Waterloo i zupełnym upadku Napoleona, wraz ze szczątkami armii polskiej wrócił do kraju. Ochłody w zapale, rozczarowany z wielu młodzieńczych nadziei, nie widząc dla siebie żadnego losu w zawodzie wojskowym wśród wróżby powszechnego pokoju, w marcu 1815 roku wyszedł z wojska, wrócił do Krakowa i zapisany w poczet uczniów akademii jagiellońskiej, ukończył wydział filozoficzny, przy pomocy i opiece księdza Feliksa Jarońskiego, pod którym dawniej słuchał filozofii. Ten szlachetny profesor nie tylko że otworzył Muczkowskiemu dom własny, ale nadto udzielał mu prywatnych lekcyj języka łacińskiego, odświeżając mu w pamięci nauki, wywietrzałe obozowym życiem i trudami żołnierskimi.

Kiedy w r. 1817 ustanowiono komisją organizacyjną do urządzenia rzeczywistej krakowskiej, Muczkowski mianowanym został adjunktem przy bibliotece uniwersytetu jagiellońskiego. W 1819 r. powołany na nauczyciela do gimnazjum poznańskiego, przez lat ośm uczył tam języka polskiego, łacińskiego i greckiego.

Mieszkając w Poznaniu, zbliżony do znanego miłośnika nauk, Tytusa hr. Działyńskiego, z którym razem odbył naukową podróż do Danii i Szwecyi 1823 r., zamierzył wydawać: *Zbiór najcenniejszych i najrzadszych rymotwórców polskich z wieku XVI i XVII*, których bogaty zasób miał w zamóżnej bibliotece w Kórniku. Na po-

czątek tej ważnej publikacyi ogłosił drukiem wielkiej rzadkości zbiór poezyj *Mikotaja Sepa*.

Oddawna już Niemcom nie podobał się gorliwy wykład języka polskiego przez Muczkowskiego, a tém bardziej wydawnictwo dawnych poetów polskich: dali mu to uczuć wyraźnie. Muczkowski więc w r. 1827 w grudniu zażądał uwolnienia od swych obowiązków.

(*) Szczegóły czerpiemy z własnoręcznej notatki, jaką nam za życia udzielił ś. p. Józef Muczkowski.

Wtedy to równocześnie zajmował się wydaniem poezji Adama Mickiewicza w V tomikach, znanym pod imieniem edycji poznańskiej.

W r. 1829 powrócił do Krakowa, i osiadłszy w nim stale, do końca 1830 r. trudnił się lekcjami prywatnymi. Od stycznia 1831 roku jako zastępca, a później rzeczywisty profesor, uczył w krakowskim liceum św. Anny literatury greckiej i łacińskiej, a następnie mianowany rzeczywistym professorem, przez następne dwa lata pracował w tej szkole. W roku 1834 powołany na kustosa biblioteki uniwersytetu jagiellońskiego, w tymże roku w grudniu, w skutek odbytego konkursu, mianowany zwyczajnym professorem bibliografii i bibliotekarzem tegoż uniwersytetu, do chwili zgonu pełnił te obowiązki. Jak był kochanym przez młodzież szkolną w Poznaniu, tak umiał zyskać miłość i szacunek uczniów akademii jagiellońskiej. Z prac naukowych drukiem ogłosił:

1) Powieści starego i nowego testamentu, dla użytku szkół miejskich i wiejskich, podług tłumaczenia Wujka, z pytaniami do każdej powieści i stosownymi zdaniami biblijnymi, we dwóch częściach. Poznań 1820 r. (Drugie wydanie wyszło tamże w 1834 r., przerobione i poprawione).

2) Sexti Aurelii Victoris de viris illustribus urbis Romae, nec non de caesaribus. Poznań 1823 r. (Do użytku szkół zastosowane i słownikiem łacińsko-polskim opatrzone).

3) Grammatyka języka polskiego. Poznań 1825 r. (Wydanie drugie przerobione. Kraków. 1836. Wydanie trzecie, przerobione i poprawne, tamże 1849 r.).

4) Zbiór najcenniejszych i najrzadszych rymotwórców polskich z wieku XVI i XVII. Poznań 1827 r. (Pierwszy tylko wydał tomik, obejmujący poezje *Mikolaja Sepa*).

5) Pierwsze zasady języka łacińskiego. Kraków 1842.

6) Józefa Jędrzeja Żaluskiego biblioteka historyków, prawników i polityków polskich. Kraków 1832. (Rękopis Żaluskiego licznymi przypisami pomnożył).

7) Pauli Paulivini, olim Paulus de Praga vocitatus, viginti artium manuscriptum librum... descripsit. Kraków 1835. (Muczkowski sławny ten rękopis w bibliotece jagiellońskiej, oprawny w deski i przykuty łańcuchem, miany za księgę czarownika Twardowskiego, opisał i okazał że jest pracą treści encyklopedycznej Pawła Paulivini, zwanego Pawłem z Pragi).

W rozprawie tej, którą napisał dla otrzymania katedry i doktoratu, powyciągał z tej księgi ciekawe ustępy, dające poznać jaki w XV stuleciu był stan umysłowości w Europie, a raczej ile potwornych wyobrażeń, pomieszanych z magią i grubym zabobonem, było wtedy w obiegu.

8) O stanie obecnym literatury czeskiej, przekład z Karola Winarzyckiego. Kraków 1834.

9) Rękopisma Marcina Radymińskiego. Kraków 1840. (Opisał pozostałe rękopisma i dodał o historyografach szkoły jagiellońskiej).

10) Praktyczna grammatyka języka polskiego. Kraków. 1843.

11) Mieszkania i postępowanie uczniów krakowskich w wiekach dawniejszych. Kraków 1842 r.

12) Mała grammatyka języka polskiego. 1849.

13) Wiadomość o założeniu uniwersytetu krakowskiego. Kraków 1849 r. (Ta rozprawa wyszła powtórnie w r. 1851, z dodaniem wiadomości o collegium władysławsko-nowodworskim i wspominki o Mateuszu z Krakowa).

14) Statuta, nec non liber promotionum philosophorum ordinis in universitate studiosum Jagiellonica, ab an. 1402 ad a. 1849. Kraków 1849.

15) Posąg uniwersytetu jagiellońskiego w Krakowie, wiadomość historyczna. Kraków 1850.

16) Wiadomość o rękopismach historyi Długosza, jego Bauderia Prutenorum, tudzież: Insignia seu clenodia regni Poloniae, z 17 tablicami i facsimilem. Kraków 1851 r.

Rozprawa ta zabrała mu kilka lat mozolnej pracy; dla poznania rozrzuconych rękopisów Długosza, przedsiębrał umyślnie podróże.

17) Dwie kaplice jagiellońskie w katedrze krakowskiej, z 4 rycinami. Kraków 1859. (Ostatnia praca, przy której umarł i po zgonie jego wydana).

Kiedy w latach 1844 — 1845 zaczął wychodzić w Krakowie Dwutygodnik literacki, pod redakcją Waleryana Kurowskiego, Muczkowski wspierał go usilnie swojemi pracami. Tu pomieścił zyciorysy: Bernarda z Lublina, Józefa Bogucickiego i Walentego Kuczborskiego. Z rozpraw naukowych ogłosił w tymże piśmie: Początek biczowania się w Polsce; wiadomość o związku filantropijnym w Krakowie; o Janach Leopolicach w XVI wieku żyjących; o bibliach Szarfenbergerowskich; początek przysłowia: „siedzi jak na niemieckim kazaniu.“ Wszystkie te pisma wyszły

w osobnym dziele p. n. Rozmaitości historyczne i bibliograficzne. Kraków 1845.

W tym poczcie prac naukowych widzimy najprzód pisma treści pedagogicznej, mające za sobą wartość praktyczną w nauczaniu; później oddał się wyłącznie bibliografii i dziejom ojczystym.

„Nie zostawił on po sobie (pisanie Lucyan Siemieński) grubych tomów, napuszonych oratorskimi deklamacjami. Umysł jego praktyczny i prosty, ściśle i treściwie biorący każdą naukę, pilnował samej rzeczy, z tą purytańską sumiennością, która zabrania sobie najmniejszego nawet domysłu lub śmielszego przypuszczenia, jeżeli takowe nie jest wielą wiarogodnymi świadectwami poparte. Z tej zbytniej czasami oględności wyrodziła się w pismach jego pewna suchość opowiadania, która mimo tego nie męczy czytelnika, bo nowość widoków i mnóstwo nagromadzonych rzeczy utrzymuje ciągle w napięciu uwagę. Zapewne nie może być obojętniejszy i suchszy przedmiot dla wielkiej liczby czytających, jak bibliograficzne badania: a przecież jego traktaciki o rękopismach Długosza, o bibliach Szarfenbergerowskich, o Leopolicach dadzą się czytać każdemu; chociaż nie ubawią jak komedia lub powieść, wymuszają jednak na czytelniku sympatya dla bystrego sądu i zdrowych rozumowań autora. Duch badawczy, czy się przedziera przez puszcze Afryki, czy przez lody podbiegunowe, czy dochodzi w wnętrzach ziemi epok natury, czy z lada ułamku naczynia sądzi o stanie cywilizacji zgasłego narodu, czy nakoniec losy książek wyjaśnia, konfrontując ze sobą różne ich edycje, lub odgadując wątpliwych drukarzy i autorów, — duch badawczy zawsze ma coś poetycznego uroku, bo odkrywa, bo nowy świat otwiera, bo ma stronę dodatnią.“

Nie zostawił Muczkowski żadnego dzieła większego rozmiaru, któreby mogło zająć poważne miejsce w dziejopisarstwie polskim, obowiązki bowiem bibliotekarza i profesora zajmowały mu czas cały. Dorywczo tylko chwycił pióro, brał przedmioty które więcej zwracały jego uwagę i te sumiennie badał. Za główny cel prac swoich kładł historya uniwersytetu jagiellońskiego i plan do niej nawet w jednej rozprawie swój nakreślił, dzieląc ją sam na dziesięć tomów. Prace obowiązkowe nie dały mu wykonać dzieła, o którym zawsze marzył; materiały jednak obszerne do dziejów tegoż uniwersytetu pozostawił w rękopiśmie.

W wizerunkach polskich Maksymiliana Fajansa, jest portret Muczkowskiego, odznaczający się podobieństwem, z którego zdjęty został załączony tu drzeworyt. Oblicze poważne, czoło wydatne, na którym znać pracę myśli, spojrzenie pełne życia. Średniego wzrostu, krepny, zawsze wyprostowany, żywy, w ruchach swobodny, zachował w sobie do ostatniej chwili, pomimo że od lat kilkudziesięciu oddany był ciężkiej pracy badacza pism, niezatarty niczym typ wojownika z czasów Napoleona I. Otrzymał medal świętej Heleny, który rozdał Napoleon III towarzyszom broni swego stryja. Zachował go Muczkowski jako pamiątkę dla swojej rodziny, gdyż, jak wiadomo, rząd austriacki zabronił go nosić. Żył lat 63.

W dniu 2 sierpnia 1858 r. pogrzeb zwłok jego dał świadectwo wymowne, jaki go za życia otaczał powszechny szacunek, zyskany sumienną pracą i poczciwem obywatelskim życiem. Trumnę na ramionach przeniesiono na cmentarz krakowski. *K. Wł. W.*

Kronika tygodniowa.

Egzamina wstępne do szkoły przygotowawczej już się podobno skończyły, i jak słyszeliśmy, przeszło trzechset uczniów poddało się tej próbie, mającej im otworzyć bramy dalszej nauki i prowadzić do słuchania wykładu kursów uniwersyteckich.

Brak szkoły głównej u nas dawał się czuć oddawna. Starsze pokolenie, którego szeregi przeredzają się z każdym dniem coraz bardziej, nosi na sobie pewną cechę wybitną, jaką na niem wycisnęło wychowanie gruntowniejsze, w dawnym uniwersytecie warszawskim otrzymane. Ich następcy, nietyle szczęśliwi, jeżeli własną pracą nie potrafili lub nie chcieli braku tego wypełnić, wyróżniali się widocznie od tamtego poważnego zastępu.

W trzydziestu ubiegłych latach coraz widoczniej zmniejszało się zamilowanie w naukach gruntownych i poważnych, a miejsce jego zastępowało powierzchowne, encyklopedyczne wykształcenie, z francuzczyzną na pierwszym planie, obejmujące tylko tyle, ile potrzeba było do przegawędzenia kilku godzin w salonowym towarzystwie. Dopiero od niedawnych czasów nastąpił zbawienny zwrot ku użyteczniejszej i głę-

szej pracy. Poważne koła i dzienniki skwapliwie dowodzić zaczęły jej konieczności, a ogół, jak zawsze pocziwy, zachęte tę przyjął przyjaźnie.

Przed parą jeszcze laty, bawiąc w kołach towarzyskich, doświadczało się niezmiernej nudy i cliwości. O czymże to tam rozprawiano? żal się Boże powtórzyciel! Jedno grono spierało się o piruty i wdzięki baletniczek; inne o biegiłość modniarek i krawców, lub rozbiarało szczegóły ubiorów najświeższej żurnalowej ryciny; tu przechwalano się kto droższe śniadanko wyprawil; owdzie która z pań kosztowniejsze materye nosi. Pamiętamy jak z ciekawością odczytywano artykuły Kurjerka, opisującego z wszelką dokładnością suknie dam na balach. Rozprawa toczyła się częścię po francuzku jak po polsku, z tą osobliwą *pronuncyacją* nadwiślańską, jakiejby nad Sekwaną z pewnością nie rozumiano. Nowinki, obmowy i skandale miejskie rozechwytywano jak łakocie; one to stanowiły jądro rozmów owych nigdy niezapomnianych *poniedziałków, wtorków, śród, czwartków, piątków i sobót*.

Ze panie lubily rozmawiać o niczem, nie obwiniamy ich o to bardzo, bo nie znalazły w męczyznach zachęty do poważniejszych dysput. A jakże ci panowie przepędzali zebrania towarzyskie? Namętne zamilowanie gry w karty, trzymało ich jak zaklętych nad zielonym stolikiem; tu panowało milczenie, przerywane tylko niekiedy jakimś technicznym wyrażeniem; jeżeli zaś nie grano w karty, a puszczo się w gawędę, to jej przedmiot wcale godnym zażdrości nie bywał.

Czasami ktoś ze starych weteranów szkoły krzemienieckiej lub którego z dawnych uniwersytetów, usiłował na przedmiot poważniejszy zwrócić rozmowę; lecz rozprawa tego rodzaju zbyt była niestrawną dla lekkich umysłów ówczesnych. Nie mówimy tu wcale o wszystkich, bo wielu można było naliczyć takich, co cichą i ciągłą pracą usilowali zastąpić próżnię jakiej ówczesne wychowanie wypełniły nie zdołało; mamy tylko na myśli owo nagle dziś jakby w ziemię zapadłe plemię dandysów i lewków warszawskich, wiecznie nie nie robiących, pasyżów zatrujących soki społeczeństwa, ludzi których ideałem były wieczorki hulaszce, marujące czas, zdrowie, zdolności i pieniądze.

Dawneż to czasy, kiedy żyły pomiędzy nami istoty wynajmujące się za kilka szklanek herbaty i kolacyjkę do froterowania posadzek podczas wieczorków salonowych i sprawujących tę funkcją bez rumieńca wstydu na twarzy, jakby najpożyteczniejszą pracą dla społeczeństwa odbywali; zalegających kawiarnie, krążących hukliwie wieczorami po chodnikach, tak iż tamtędy żadna uczciwa kobieta przejść nie mogła, aby się nie narazić na zniewagę? Horda ta przycupnęła dziś na chwilę, czekając sposobności, aby znów dawne rozpocząć praktyki i znowu wstydem rodzinne okrywać miasto.

Zkąd wyrosła na naszym bruku ta nikczemna klasa społeczeństwa? Zkąd się wzięły te amfibie, niewiadomo do jakiej rasy stworzeń bożych policzyć się mogące? Czyż nie z braku gruntownego wykształcenia serca i rozumu?

Otóż aby ją zupełnie i bezpowrotnie wytepić, potrzeba stanowczo ją odepchnąć i okryć wzgardą. Panie nasze wiele w tym względzie uczynić mogą, od nich główny wyrok i kara wyjść może.

Ludzie szanowni, mający w swém kółku poważanie i wiarę, powinni przedstawić wzrastającemu pokoleniu całą obrzydliwość owęj bezduśnej i próżniaczej zgrai, a zachęcać je aby od młodości brało życie na seryo, aby ceniło każdą drogą godzinę szybko ubiegającego czasu, aby obierało wcześniej zawód, w jakim pragnie służyć krajowi.

Niech młódz ucząca się, pojrząwszy na owe fantomy przeszłości, weźmie sobie za punkt honoru stanąć na przeciwległym biegunie tych arlekinów salonowych, niech całemi siłami uchwyci się nauki, bo tylko człowiek z pochodnią prawdy i rozumu, a czystym sercem, godzien i może służyć swemu narodowi i być jego podporą a zaszczytem.

Nauka lekko nie przyjdzie. Nie dosyć jest uczyć się pilnie na prelekcye i słuchać słowa płynącego z katedry, chociażby też z ust najzdolniejszych. Chcąc pożytek rzeczywisty otrzymać, potrzeba aby słowo to oblekło się w ciało; chcąc nagromadzić skarby, któreby nietylko na własne potrzeby, ale i ku zasileniu drugich starczyły, należy skupić całą siłę ducha, własną pracą przetrwać to co niesie żywa nauka lub martwa księga, poświęcić jej kilka lat młodzieńczego zapалу i siły. Na tej pięknej drodze słaby tylko, zrażony trudem, upaść może, ale umysł silny zatrzwożyć się nie da i z tym większym zapalem naprzód podąży.

Wiemy o tém, że nie wszystkim przeznaczono być uczonymi, że sama nauka społeczeństwa nie zbawi; wszelako nikomu nie wolno być nieukiem, komu tyl-

ko los dozwolił czerpać w skarbnicach wiedzy. Nie godzi się zaniedbywać niczego, co nas podnieść i wyżej postawić może. Wołając o oświatę ludu nie nieumiejącego, i my spieszymy również z nim naprzód, my, którzy sądzimy że umiemy cośkolwiek.

Te półśrodki i półświatła, które nas w minionych latach wiodły po drodze życia, są główną przyczyną owego braku zdania wytrawnego w każdej niemal sprawie, owę nieuleczoną chwiejność jaka nas cechuje. Zimniej podane słowo, choć znaczne i pełne prawdy, ma u nas mniej wpływu aniżeli krzykactwo.

Wprawna frazeologia, rozprawiająca z dwóch stron naraz z równą zręcznością o jednym przedmiocie, stawia nas w tém położeniu, że jesteśmy jak wędrowiec na rozstajnych drogach, niewiedzący którą iść mu należy.

Weźmy na przykład piśmiennictwo. Iluż to jest co wynoszą jakiegoś pisarza pod niebiosa, lecz gdy im kto, byle śmiało a zuchwale, powie że ten pisarz nie niewart, choćby to był sam Mickiewicz, zachwieją się, niezdolni odeprzeć zarzutów.

Z takiego to półrodkowego kształcenia się wyrastają pół-mędrkowie, pół-poeci, pół-filozofowie, którzy widząc że i niwa literacka nie jest zbyt niewdzięczną, chwytają się do jej uprawy i zasiewają ziarnem, nie bacząc jakimi, byle tylko plon zebrać.

Chwyciwszy się zawodu piśmienniczego jak zwykle rzemiosła, płyną nim lekko po wirzchu. Nie posiadając sami wiadomości gruntownych, usiłują bawić tylko czytelników dowcipem i wmówić w nich że nauki poważniejsze całkiem są niepotrzebne, że zabijają talent i twórczość. Wiedzą że ogół naszych czytelników łatwo zachwycić powierzchownymi przymiotami stylu; ubóstwo więc myśli i brak podstawy znacznej a niewzruszonej, zastępują szumnymi frazesami, jaskrawością barw, wrzaskliwością i zuchwalstwem; ale napróżnobyś tam szukał sumiennego sądu i głębokiej prawdy, gdzie niema prawdziwego światła nauki i czystości serca.

Otóż w przyszłości od takich korsarkich wycieczek na umysły i kieszenie publiczności, jedynie zbawić nas może zmiana wychowania, gruntowna nauka. Kto pragnie naród oświecać i doń przemawiać, niechaj wprzód długo pracuje. Posiadający sam wiedzę, potrafi jej drugim udzielić; idąc drogą prostą i ubitą, nie poprowadzi innych na manowce i nie odważy się tumanami wyziewów niedowarzonego umysłu zasłaniać innym światła, wiedząc że czasy łamanych sztuk bezpowrotnie minęły, że ogół wykształcony ze wzgardą odepchnie lekkie i liche ziarno, bo może mieć czyste i pożywne.

W tych dniach kończy się przebudowanie dwóch oficyn, a raczej dwóch bocznych gmachów kaźmirowskiego pałacu. W skutku tej odnowy nadano rzeczonym gmachom ten sam styl, w jakim główny budynek był wystawiony, a pośpiech w dokonaniu przekształcenia, jakoteż staranne wykonanie przedsięwziętych robót, winni jesteśmy budowniczemu panu Sulimowskiemu, pod którego zarządem fabrykę prowadził p. Waligórski, majster murarski z Krakowa. Przyozdobienie frontonów wykonał p. F. Marconi sztukator. Cały gmach nabrał tym sposobem jednolitości.

Różne koleje przechodził pałac kaźmirowski, zanim przeznaczono go na pomieszczenie księżnicy i szkół publicznych. Niedługo w tém miejscu, w czasach gdy Warszawa zostawała pod rządem książąt mazowieckich, był pałac ich letni, na gruntach wsi Kałęczyn wystawiony; kiedy zaś Zygmunt III Warszawę na stolicę Rzeczypospolitej przeniósł, stały tu stajnie królewskie. Dopiero Anna, siostra tego monarchy, otrzymawszy pozwolenie od brata, wybudowała tu dwór i przekazała go po swęj śmierci synowcowi Władysławowi. Królewicz dawny dwór zburzył, a na miejscu jego wystawił w r. 1635 pałac drewniany. Jan Kazimierz wznosił gmach murowany i ten od imienia króla otrzymał nazwę dzisiejszą. Po śmierci Kazimierza dłużnicy królewscy pałac zajęli; wszelako Jan III, zaspokojuwszy ich pretensje, pałac kaźmirowski wziął na własność. Konstancy królewicz darował go Augustowi II, minister zaś Sulkowski otrzymał go również darem od jego następcy. Nie długo wszelako gmach ów zostawał w rodzinie Sulkowskich, bo w r. 1765 Stanisław August, odkupiwszy pałac, przeznaczył go na pomieszczenie korpusu kadetów, którzy mieścili się tu przez lat trzydzieści. Gmach od tej chwili przybrał nazwisko *koszar kadeckich*, i skarb publiczny od króla zakupił go na własność. Od roku dopiero 1815 przeznaczono pałac kaźmirowski na instytutu naukowe.

Położenie jego wybornie do celu tego przypada. Pomieszczony w samym środku miasta, dogodnie dla uczęszczającej młodzieży, niewystawiony jest przecież na gwar uliczny; otoczenie ogrodami na krańcu wzgórza zapewnia przyływ ciągle świeżego, zdrowego powietrza, i gdyby nie sąsiedztwo szpitala św. Rocha,

nichy do życzenia nie zostawało pod względem wybrania miejsca na zakład naukowy. Już to Warszawę dotyka jakiś fatalizm co do wyboru miejsc na szpitale. Rzecz niesłychana, ażeby w mieście ludnym mieszczone szpitale z ich niezdrowymi wyziewami w samym ognisku ruchu. Tymczasem Warszawa posiadała ich już dwa: jeden św. Rocha, w najniezdrowszym miejscu, bo w najludniejszym i najhałaśliwszym; drugi szpital Dzieciątka Jezus, stojący niegdyś wśród rozrzuconych dworków, ale dziś także już położony wśród miasta. Do tych ostatnimi czasy przybył jeszcze trzeci, szpital św. Ducha, w ulicy ciasnej, hałaśliwej i zewsząd otoczonej domami. Żadnego tu względu niema ani na wygodę chorych i zapewnienie im cichego, a zdrowego powietrza zaopatrzonego przytulku w cierpieniach, ani na publiczność, na którą wyziewy szpitalne pod względem zdrowia zgubny bardzo wpływ mieć mogą.

Wychodzące pisma dla ludu coraz więcej zyskują czytelników. Jako fakt zasługujący na uwagę podajemy tu wiadomość, iż jeden z obywateli obwodu kieleckiego zaprenumerował siedm egzemplarzy Kmiotka, dla karczem we wsiach: Piotrkowice; Piekuszków, Mniów, Ruda maliniecka, Strupice, Karsznice i Mniuchów, rozporządziwszy aby w każdej jeden z tych numerów leżał na stole gościnnym, pod odpowiedzialnością karczmarza; jest bowiem przekonany iż lud najchętniej czytać tam będzie i zawsze znajdzie się jaki *piśmienny*, który je ciekawym gościom odczyta, gdy tymczasem niezmiernie trudno zwabić włościan do dworu, aby czytania posłuchali. Przykład to godzien naśladowania tam zwłaszcza, gdzie stosunki pomiędzy dziedzicami a włościanami nie opierają się jeszcze na wzajemnej ufności.

WYCIECZKA DO GDAŃSKA.

przez

Deotymę.

(Dalszy ciąg.)

Czczewo.

Pozostając we Czczewie, niespokojnym okiem ogarniałam krajobraz, w skutku krzyżackiej burzy jeszcze wodą zalany; lecz mieliśmy kilka godzin czasu do rozporządzenia, można jeszcze było pojsć odpocząć we dworcu kolei żelaznej.

Oprócz jednego Brunświku, gdzie banhof słynie grecką harmonią swęj budowy, nigdzie nie widziałam równie pięknej jak we Czczewie; jest to prawdziwy wzór architektury dziewiętnastego wieku, utwór z samego żelaza i kryształu; najtrwalsze z najniecierpliwiejszym, połączenie dziwne a pociągające, jak ślub powiewnej dziewicy z pancernym rycerzem, jak przejrzyście myśli ujęta w moc czynu.

Najpierw wchodzisz do sali z trzech stron wyłożonej zwierciadłami; z czwartej ogromna szklana ściana przedziela ją od drugiej sali półkolistej; ta cała jest ulana ze szkła oprawionego w sieć żelaznych słupków, wiotkich i powikłanych, jakby gałązki rozłożystych drzew. Kierunek budowy tak zwrócony, iż gdziekolwiek staniesz, na wskrós wszystkich ścian, jak przez jedno okno, widzisz cały most.

Rozgościwszy się na karmazynowej ottomance, kazaliśmy pódąć podwieczorek, i niedługo przybrani w odzież stosowną na po-burze, idziemy złożyć pokłon miejscowemu zjawisku.

W parę minut byliśmy u wejściowej bramy. Wtedy coś mi się dziwnego stało; nie mogłam się odnaleźć z myślami, jak osoba która ma sen tak nadzwyczajny, że nawet śpiąc mu się dziwi.

Most czczewski nie jest ani oparty na arkadach, ani zawieszony na drutach; siedm słupów, ogromnych jak pagórki, wznosi się, dwa na dwóch brzegach, pięć w Wiśle; między nimi niezmiernie przedziały, z których każdy czterystu stóp dochodzi; na nich położona jest skrzynia przezroczysta, z żelaza upleciona, tak długa jak rzeka. Składa się z czterech wstęg utworzonych przez belki szczerzo-żelazne, pozbijane i nitowane; dwie takie wstęgi ciągną się na dole, dwie w górze; cztery ściany między nimi są uwiązane z szyn żelaznych uplecionych ukośnie, jak szachownica którejby kwadraty pozostały próżne. Ta ukośność sprawia, że siła ciężaru leżącego w budowie mostu, i ciężarów po nim przejeżdżających, rozpryskuje się i rozdrabnia w tyle kierunków, iż wszędzie sama sobie znajduje równowagę; główna jednak moc leży w belkach górnych, których jest dwa razy więcej jak na dole.

Wybrano taki rodzaj budowy, dla uniknięcia zniszczeń jakie sprawia kra, kiedy się przerzyna między wążkami arkadami; tu słupy są w odległościach zdolnych przepuszczać całe skały lodowe, a wydzwignięte tak wysoko nad wodę, że największe statki z podniesionymi masztami mogą pod mostem przepływać. Każdy słup taki zdaje się wysepką; usypany z granitów, bazaltów i niezliczonych innych potęg przeciw wodzie, wygląda jak warownia falom niezdołbyta. Siła wiązań żelaznych sprawia, że pomimo iż filary są tak rzadko na Wiśle rozstawione, skrzynia może od jednego do drugiego bez załamania się być przeciągnięta.

Wjeżdża się więc i wchodzi w samą skrzynię; jej ściana spodnia, również przejrzysta jak inne, wyłożona została drzewem, na którym po środku bieżą szyny dla kolei żelaznej, po bokach drogi dla konnych i pojazdów; dla pieszych są dwa otwarte ganeczki na zewnątrz krać biegnące.

Wszedłszy nie tylko na most, ale tu można powiedzieć w most, długo używaliśmy przechadzki pełnej co chwila niespodzianych uroków. Już sama moc tej budowy, tak dziwnej że nic znanego nie przypomina, byłaby zdolną zdumieć najbardziej wymagające oko; lecz co powiększa wrażenie, to uczucie estetyczne z jakim ją ozdobiono. Na dwóch brzegach u wejścia i wyjścia mostu, wystawione są dwie bramy wspaniałe jak tryumfalne łuki; z każdego słupa wystrzelają dwie wieże, które po dwóch stronach skrzyni stoją niby jej strażniczki; bramy i wieże wybudowane są z mozaiki cegieł różnobarwnych, bladofioletkowych, niebieskich, seledynowych, pieszczących wzrok swoją wzorzystością, równie jak połotem gotyckich kształtów. Ale to wszystko można i w innych gmachach znaleźć; widok dopiero samej skrzyni nie ma sobie podobnego: wysoka jak nawa najwyższej katedry, lekka a silna jak upleć dziewiczych lasów, odznacza się jeszcze swoim kolorem; dla uchwycenia żelaza od rdzy, umalowano ją farbą gorąco-czerwoną, i wygląda jak szpaler z ognia. Długość jej taka niezmierna, że kto stanie u wejścia, nie może dojrzeć wyjścia nawet w kształcie jasnego krążka; tylko mu się przed oczami coraz গেściej mieni zamęt czerwonej kraty. Za każdym poruszeniem widza pokrzyżowanie kratak inaczej się przedstawia, a jemu się wydaje że to kratki się poruszają i w coraz nowy rysunek wiążą; jest więc w tej budowie nawet uluda życia.

To też kto most ów tylko zamkniętym wagonem przejeżdżał, nie może mieć pojęcia o jego cudownej sztuce, a tém mniej o fantastycznym wrażeniu jakie sprawia na wzroku przechodnia.

W połowie purpurowego krużganku, ogarnęło nas mocne zdumienie; nadchodził ku nam człowiek, a raczej dziwo mające tylko kształt człowieka. Jego suknie, ręce, rysy twarzy i nawet włosy były czerwone, ale to tak czerwone, jak bywają krwawe widma ukazujące się w gorączce lub w baśni ludowej. Po jakimś czasie poznaliśmy w nim jednego z malarzy powlekających czerwienią kraty mostu, który wówczas dopiero kończono. Nad bramami tylko co zostały umieszczone rzeźby z pięknymi allegoryami.

Ale niedość nam było przechadzać się wewnątrz skrzyni i po zewnętrznych gankach; pragnęliśmy znaleźć jakie bardziej oddalone stanowisko, zkadby oczy nasze mogły całość mostu ogarnąć. Pokazano nam schody pięknie wymurowane, zstępujące nad samą wodę; od nich wylwija się chodnik kamienny tak przeprowadzony, że można pod mostem przechodzić. Widzieliśmy nad głowami naszymi zawieszoną ową długą, jarzącą klatkę, w której lokomotywy przelatując niby małe czarne ptaszyny, świegotwały poświstem pary.

Nieco dalej wstąpiliśmy na wzgórze nadbrzeżne, i ztamtąd dopiero cały ogrom dzieła nam się uwidomił: owe słupy samotne a mocne jak skały, czternastcie owych wież kraśnych we dwie grędy rozkwitających, a między nimi aleja z płomieni, wszystko to mi się wydało urzeczywistnieniem tych czarodziejskich ogrodów, co prowadzą do miedzianych zamków o szklanych wschodach, gdzie mieszka królowna w niebieskich różach na głowie.

Zwolna, wielokrotnie oglądając się, odchodziłam od mostu, i wróciwszy do dworca kolei, jeszcze przez kryształowe ściany wpatrywałam się w pomnik, którego słupy świadczą o sile ludzkiej ręki, a żelazna przedza świadczy o twórczości ludzkiej myśli, nikłej a trwałej jak ta sieć kruszcowa. Przy tém wpatrywaniu się i herbacie upłynęło nam parę godzin. Parę godzin spędzonych na banhofie, jestto album pełne jaskrawych obrazków: od czasu do czasu jakiś pociąg odchodzi; przez chwilę można widzieć krocie różnych pożegnań, w których oko dostrzega wszystkie stopnie uczuć odmalowane w usciskach, krótkich wyrazach i długich spojrzaniach; za chwilę wszyscy pożegnani już są daleko, pozostali w milczeniu się rozchodzą,



Bogiem a prawdą, równie jak ja praktycznych artykułów pisać nie umiał, — to, jak powiada poeta: *pióro mię czarnym ostrzegło językiem*, że dzisiaj człek na sławę piórem nie zrobi, choćby i najpraktyczniejsze korespondencye pisywał; bo w naszej przynajmniej okolicy, z całym jej przemysłem, handlem i rolnictwem, niema przedmiotu, którymy można dziś zająć uwagę czytelników, pragnących w piśmie to znaleźć, czego tam włożyć nie sposób.

To też, gdy mi już ostatecznie sumienie literackie dogryzło, gdy bądż co bądż postanowił korespondencyą wam posłać, i położył przed sobą biały arkusz papieru, całą pierwszą stronę pomazałem na niwecz, pisząc i przekreślając razy kilkanaście, a w żaden sposób zacząć nawet nie mogąc...

O, gdybym zdołał własne ognie przelać
W piersi współbraci! gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do piersi słuchaczy,
Możeby...

możeby wtemczas jakoś i wybrnął z tego kłopotu; ale nie zdołam, nie umiem, nie mogę i nie wiem co począć...

Bo pytam siebie: co to was dziś obchodzi, że dwa tygodnie prawie bez odpochnięcia dęsz u nas lał jak z wiadra; że strasznej drożyzny spodziewać się należy? Wszak nie samym chlebem człek żyje...

Bo co wam z tego, że przed dwoma tygodniami jakiś bardzo zdolny młody artysta, uczeń konserwatorium wiedeńskiego, dawał tutaj koncert na skrzypkach, i że artyści nasi dramatyczni, powróciwszy z wędrowniki, *Sabaudką* otworzyli teatr szlachty woliński, od wielkiego postu zamknięty?... Komu dziś w głowie koncerta? Kto zechce wdychać nad cierpieniami bohaterów książkowych, kiedy nad samym sobą niejednego westchnąć zmuszony?... Nie wszędzie wprowadzić, nie wszędzie! To też z wielką pociechą czytaliśmy niedawno w Gazecie Polskiej, że u nas także na Wolińniu, „w celu przyniesienia pomocy biednym i zapobieżenia smutnym następstwom nędzy, dano w znanym powszechnie ze staropolskiej gościnności domu p. Cz. w H., dwa przedstawienia amatorskie. Amatorowie grali wybornie, amatorki jeszcze lepiej; poczem wszyscy



rozjechali się do domów, szczęśliwi że dopełnili obowiązku i zabawili się zarazem. I my też powiemy: *szczęśliwi!* bo czyliż to nie szczęście, czyliż nie prawdziwa zasługa, umieć do zabawy się zmusić, dla wypełnienia obowiązku, dla przyniesienia pomocy biednym, którzy się bawić nie mogą, a których dziś tak wielu? lub dla zapobieżenia smutnym następstwom nędzy, której widok a nawet samo przecucie do zabawy nie usposabia?! *Szczęśliwi!* Winszujemy im i zazdrościmy, bo sami się niezdołnemi do takiego bohaterstwa czujemy.

Dawniej zajęłaby was może wieść o drukarniach naszych, z których jedna (Chrzęszcza) ostatnimi czasy wydała pracę doktora Delille, pod tytułem *Szyller uważany jako lekarz, czyli jego inauguralna rozprawa o związku zwierzęcej natury człowieka z duchową*, tłumaczenie z niemieckiego; druga (Kwiatkowskiego) ma na ukoniecznieniu *Kronikę Dytmaria*, w przekładzie Zygmunta Komornickiego. Dawniej też radziłyście byli nowinie, że księgarz tutejszy, p. Konstanty Budkiewicz, bez rozgłosu ale poczciwie koło wydawnictwa się krzątający, wydał własnym nakładem kilka kompo-



zycyj muzycznych; oraz że jeden z tujszych nauczycieli muzyki, dawniej już znany jako kompozytor, p. Singer-Wysogórski, ogłosił u Breitkopfa i Härtela w Lipsku drugi numer swojego albumu muzycznego, zawierający *Krakowiaki*, ułożone bardzo udanie i przeplecione innymi piosenkami polskimi, których i wybór i układ bardzo gustowny. Lecz dzisiaj, kogóż książki, kogo nuty obchodzą?

Dawniej przyjemnieby mi było pochwalić się przed wami, że Tytus Maleszewski, którego talent dobrze wam znany, parę miesięcy gościł w naszym miasteczku i wzbogacił je kilką przeslicznymi obrazami pa-stelowymi. A dziś, pozał się Boże! Sztuki piękne ojczyście, które przed rokiem jeszcze tak żywo zajmowały publiczność naszą, dziś mało kogo obchodzą; a przecież nietylko dwory szlacheckie nie mają czem ścien swych ozdobić, ale i domy Boże, po większej części, niezdarne tylko mazanym w ołtarzach mieszczą. Smutno pomyśleć, że potomkowie tych, którzy nieraz całe włości na wzniesienie wspaniałych świątyni i uposażenie zakonów ofiarowywali, co z Włoch dalekich sprowadzali sławnych kunsztmistrzów lub ich dzieła

szacowne, nie umieją się zdobyć na zakupienie pięknego do kościoła obrazu, po który już daleko posyłać wcale nie trzeba.

Dawniej perłą nielada w skarbcu moich nowinek byłaby ta wiadomość, że p. Kopczyński, znakomity chemik, którego prace naukowe i szacowne odkrycia nie miały rozgłosu mają we Francji, gdzie niejednokrotnie premiami i przywilejami uczczone były, niebawem rozpocznie tu publiczne popularne odczyty. Sądzę że i w dzisiejsze czasy wieść ta ma pewną wagę. Daj tylko Boże, aby publiczność nasza umiała ocenić i dobre chęci p. Kopczyńskiego, i korzystać jak z jego lekcyj mieć może. Chemia stosowana do rolnictwa, do sztuki i rzemiosł, wsparta doświadczeniami, o jakie przy bogatym laboratorium p. Kopczyńskiego nie trudno, jeżeli nie zastąpi braku specjalnego u nas pod tym względem ukształcenia, to przynajmniej niejednego przekona o koniecznej jego potrzebie, niejednego do sumienniej na tej drodze pracy nakłoni, a ogółowi poda sposobność powzięcia bodaj elementarnych wyobrażeń o tej tak pięknej i tak ważnej nauce. Wtedy może z czasem potrafimy lepiej korzystać z tego niezmiernego bogactwa, jakim Bóg naszą ziemię uposażył, może się wyzwolimy z tej cukromanii, która dziś tak wyłącznie w prowincjach naszych panuje, a ujrzymy więcej fryszerek, więcej hut szklanych, więcej smolarni, mydlarni, papierni i t. d., do których mamy pod ręką taką obfitość materyałów, marnujących się dzisiaj albo przez nieużytek, albo przez nieumiejętne obchodzenie się z niemi. Wtedy i rola nasza pocziwa, uprawiona stosownie, pewnie z jednego morga więcej nam da korzyści, niż dzisiaj z pięciu, co przy nieuniknionym ubytku rąk roboczych, jak mniemam, nader ważną jest rzeczą. Ale to przedmiot tak rozległy, że się nie godzi zbywać go pogadanką pobieżną i należałoby raczej wyłączyć a gruntowną rozprawę mu poświęcić, i do tej też wzywamy ludzi fachowych. Niechaj kto z takich da nam obraz królestw przyrodzonych naszego kraju, a razem niech wykaże, jaką z nich korzystają mamy i w jakim stanie fabryki się nasze znajdują. Będzie to zasługa prawdziwa, największej godna wdzięczności.

Na tém już i zakończyć byłbym powinien, bo cóż wynajdę godniejszego uwagi?... Lecz wyliczywszy to



i owo, co nas dziś nie zajmuje, potrzeba też powiedzieć co nas zajmuje przecie? Zaiste twarde zadanie! Zajmuje nas niejedno. Oto np. krąży głucha pogłoska, że szlachta nasza myśli o zawiązaniu towarzystwa oszczędności, którego jednym z warunków ma być wyrzeczenie się gry w karty... Już widzę na waszych ustach uśmiech niedowierzania, a wyznaję otwarcie, że i sam niezupełnie w to wierzę; ale powiadam sobie: jeśli chłopci litewscy, którzy przed kilką laty pili jak smoki, dzisiaj po większej części wyrzekli się gorzałki, to dlaczegożby szlachta, ten kwiat społeczeństwa, która tak umie chłopskie zdolności karcic, która tak słusznie czerń tonącą w rozpuście *bydłem* nazywa, miała być niższą od chłopów? dlaczegożby się nie wyrzekła karcistwa, które dla niej jest złem takim samym, jeśli nie gorszem, co gorzałka dla gminu?... Ale to kwestya drażliwa, dajmy jej pokój!

Zajmują nas jeszcze szkółki parafialne. Pochwalicie nas za pocziwie to zajęcie! powiedzcie z serca: szczęście Boże! a życzenie nam wytrwania w pracy chwalebnej, życzenie go znacnym proboszczom naszym, od których to najwięcej zawisło, życzenie go naszym szlachetnym obywatelkom, które niemniej skutecznie, a może jeszcze skuteczniej na umysł i serca działwy włociańskiej podziać mogą. Według ustawy nauka w szkołkach parafialnych ogranicza się na samem tylko czytaniu, pisanu, rachunkach i katechizmie. Niewiele to, nie przeczę; ale gdybyśmy nawet i gwiazdy z nieba zbierać nauczyli dzieci naszych wieśniaków, niewielka zjad korzyść dla społeczeństwa będzie, jeżeli zapomniemy o tej nauce, która nie z zimnych książek do głowy, a tylko z gorącego serca do serca się przelęwa. A w taki sposób rzecz rozumiejąc, program szkółek elementarnych dobrym jest wcale. Przy nauce religii, nauczmy ludek Boży miłości, na której się cała religia opiera, a nauczmy go czytać, rozbudźmy w nim potrzebę karmi umysłowej i dostarczmy takiej, aby mu zdrowie duszne przyniosła, to i najwyższy cel uauki osiągnięty zostanie.

Bardzo niedawno jeszcze, prawiąc takie kazanie, haftując na takiej kanwie sielankowe obrazki, człek nieraz tylko albo na posmiewisko się u współbraci wystawiał, albo co gorsza, za demagoga u nich uchodził... A dzisiaj... co za zmiana szczęśliwa!... dzisiaj to samo, co niegdyś w książce śmiesznych lub niebezpiecznym wydawało się komus, w życiu się praktykuje w najlepszym! Co za triumf dla piśmiennictwa! Dziś, gdy poddani nasi sąsiadami naszymi stać się mają, wszyscy czujemy to dokładnie, jak wiele nam na dobrych z nimi stosunkach zależeć będzie. Przypominamy sobie Floryana Szarego, który, zraniony srodze, leżąc na pobojowisku, gdy jeliła wybiegła garścią sobie do łona wciskała, a król się nad cierpieniem jego litował, wyrzekł, że więcej od złego sąsiada cierpi. Pragniemy więc i pracujemy nad tém usilnie, abyśmy dobrych sąsiadów mieli. Praca to wielka, praca ciężka nad wszelki wyraz, o której ten tylko wyobrażenie mieć może, kto się jej sam dotyka. Ale zbytecznym jest dodawać, że nikt się od niej uchylać, nikt jej ciężarem zrażać się nie powinien. Stara to prawda, że każdy początek trudny, ale i to nie nowa, że *amor omnia vincit*. I wątpliwości nie ulega najmniejszej, mamy na to żywe dowody, że tam gdzie miłość pracy przewodzi, ciężar jej znacznie się zmniejsza, a nieraz znika zupełnie.

Pracujmy więc z miłością i bądźmy sprawiedliwi, wyrozumiali, cierpliwi i do ofiar gotowi, nie z musu, nie przez samo tylko pojęcie obowiązku i własnej swęj korzyści, ale z miłości dla młodszych braci naszych,

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

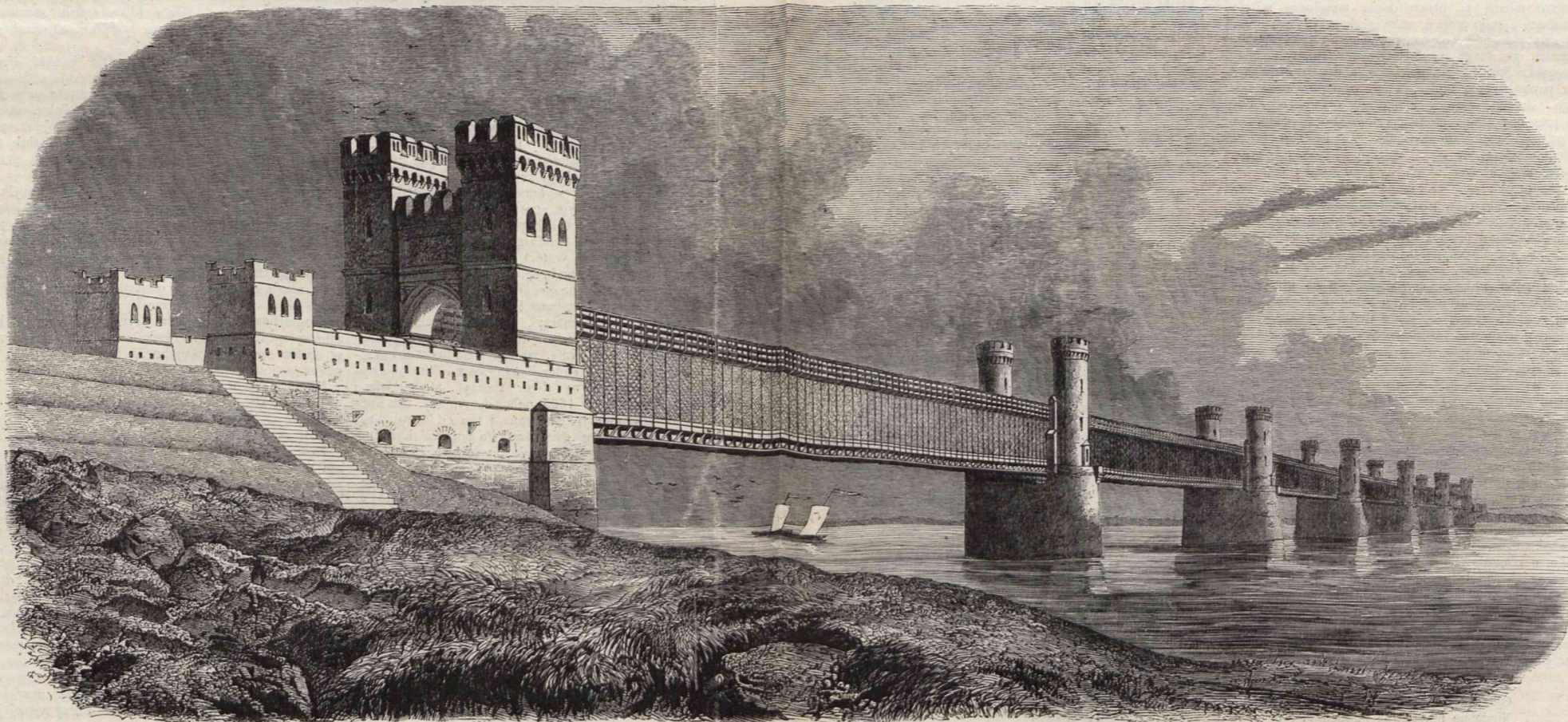
Zytomierz, d. 6 października 1861 r.

Od kąd z Zytomierza wyjechał stały wasz korespondent, sumienie literackie nieraz już mię upominało, abym go w Tygodniku jako tako zastąpił; lecz ilekroć o tém pomyślałem na seryo, zawsze obawą zdjęty, ręką pióra ująć nie mogłem...

Zawód to wprawdzie już nie nowy dla mnie. Był czas o którym przyjaciele moi pamiętają do dziś dnia, kiedy na laurach na tém polu zebranych, mogłem się wyspać jak na puchu łabędzim; kiedy do trzech na raz dzienników listy sążniste posyłałem co miesiąc, a nigdy mi do nich treści nie brakło: lada koncertik, lada jarmarzek z trupą koczujących aktorów lub linoskoków, lada balik lub polowanie, lada nowa książka albo obrazek, już i korespondencya gotowa; w braku zaś tego, drzewa, kwiatki, trawki, zwierzęta, ptaki, owady, chmurki, gwiazdki, wietrzyki, wszyscy autorowie i cała dekoracya natury, a w ostatecznym razie sama już skarga na brak przedmiotu, za przedmiot służyła mi wybornie.

Lecz rychło inne czasy, inne obyczaje nastaly. Świat okrutnie spoważniał, przesycał się słodką sielanką, wsmiał elukubracje na temat czterech pór roku, zapragnął rzeczy poważnych, rzeczy praktycznych. Chcący nie chcący, w kął się schować musiałem, i ze skrytą w sercu zawisną podziwiać nową szkołę dziennikarskich korespondentów, którzy już nie literami, ale cyframi artykuły pełne prawdziwej treści pisywali ze sławą.

Długo ten szacowny rodzaj praktyczny zdawał mi się niepodobnym do naśladowania, bom najniepraktyczniejszy człowiek na świecie; lecz przy pracy usilnej doszedłem niedawnemi czasy do tego, że przysiedziawszy faldów, ułożył piękny artykuł, w którym na pięć liter sześć cyfer było, a taki poważny, taki zimny, że aż mi palce po nim skostniały. Ale trzebaż nieszczęścia!... nimem go ostatecznie wygladził, nimem zdołał przepisać, znowu się czasy zmieniły, i kiedy mi przyszło zastąpić nieobecnego tu korespondenta, który,



MOST KRATOWY PRZEZ WISŁĘ POD CZCZEWEM. — U GÓRY PŁASKORZEŻBYŃ NAD BRAMĄ WJAZDOWĄ TEGOŻ MOSTU.

którym dziś bardzo wiele powinniśmy przebaczyć, w bardzo wielu razach pobłażać; bo najczęściej tak bywa, że oni sami nie wiedzą co czynią, a że nie wiedzą, to nie ich w tym wina. Ci którzy lat wiele jakby machiną byli, którzy nigdy prawie nie myśleli i nie radzili o sobie, trudno aby od razu zrozumieli swe stanowisko; wątpić wszętkie nie można, że myśl, przebudzona z uspienia, rychło w sąd zdrowy u nich się wyrobi, bylebyśmy im tylko dopomóż zechcieli. Zręczności ku temu niebrak, raz wraz się ona trafia: dnia dzisiaj niema, aby gromady całe, lub z pośród nich niektórzy, nie potrzebowali z dziedzicem swym się rozmawiać. Idzie więc tylko o to, aby ku tej rozmowie chętnie się skłonić i cierpliwie w niej wytrwać; aby się nie wyręczać lada jakim zastępcą; aby całkiem zapomnieć o dawniejszym bezwarunkowym *sic volo, sic jubeo*; aby nie czyjaś wola osobista, tylko uznana prawda i prawność była rozkazem. To najważniejsza, lecz też i najtrudniejsza; tu też najczęściej trzeba miłości, tu ona jest obowiązkiem ewangelicznym, lecz razem najżywniejszym interesem naszym. Starać się o nią, wyrabiać ją w sercu najusilniej wszyscyśmy, dziś powinni, a przed innymi sędziowie nasi polubowni. Nie namawiamy ich do pobłażania zuchwalstwu i bezprawiu, nie odwodzimy ich od stanowczego i energicznego działania; ale chcemy tylko aby umieli być sprawiedliwymi, a nawet i surowymi przez miłość, aby w niej najsilniejszą dźwignię widzieli, nie posługując się obrażającą godność obywatelską i powagę tak zacnego urzędu środkami, nie imponując włóścianom oznakami zewnętrznymi, lub łajaniem i pięścią. Tacy pośrednicy (może takich niema) pewni być mogą, że piękne pole ich pracy gorzkie owoce im wyda: przeklną ich chłopci, wzgardzą prawi obywatele, a ci, którym mniemali być użytecznymi, rychło o krzywdę ich oskarżą; bo też największą przez nich stratę poniosą, stratę życzliwości i zaufania tych, od których byt ich cały zależy.

Ale po co to prawie? Tyle już razy mówiono o tym i pisano, że doprawdy nie godzi się powtarzać jeszcze tego kazania spowszedniałego, jak wiele innych, oprócz chyba tego, któreśmy przed tygodniem na pogrzebie jednego z najzaciejszych mieszkańców naszego miasta, p. Celestyna Trzeciaka, słyszeli. Miał je ks. Szczeniowski, a było ono tak różnem od pospolitych panegiryków pogrzebowych, pełne takiego namaszczenia, tak mało powiające o zasługach zmarłego, któreśmy wszyscy znali, i o wiekuiściej chwale jego duszy, a tak wysoce obywatelskie, tak głęboko przenikające duchowe potrzeby nasze, żeśmy z najwyższym słuchali go wzruszeniem.

Na tym już kończyć muszę dzisiejszą moją z wami rozmowę, za której czcność i niepraktyczność najmocniej was przepraszam.

Zwyczaj, zabobony i obrzędy ludu w niektórych okolicach w. ks. poznańskiego.

Mówiąc o tym przedmiocie, zaczniemy najprzód od wesel. Materyalizm, będący dzisiaj żywotną kwestją społeczeństwa ludzkiego, przedarł się nawet do najniższych klas i staje się niepowstrzymanem narzędziem zagłady wszelkich zwyczajów i dawnych cnót ojców naszych. Dziś cnota i uczciwość są tylko małoważnemi przymiotami, a posiadłość gruntowa i pieniądz całą wartością i główną zasadą przy zawieraniu małżeństw. Tylko ludzie bez żadnego mienia idą w wyborze towarzysza lub towarzyski życia za popędem serca; chłopci zaś grunt lub gotówkę posiadający, nie pytają o to, czy młodzi będą z siebie kontenci, albo czy wiekiem są sobie odpowiedni. U nich chodzi tylko o to, ile gruntu i posagu w bydle lub gotówce dostać mogą, a zresztą mówią: przywykną do siebie i muszą żyć z sobą, bo innej rady dla nich nie będzie.

Układ o połączenie dwóch nowożeńców zwykle w mieście przy kieliszku przychodzi do skutku. W sobotę wieczorem wysyłają rodzice pana młodego z flaszką gorzałki do domu rodzicielskiego panny młodej, która w tym czasie za piec się chowa. Pochwaliwszy Pana Boga, zaczyna on od jakiegokolwiek rozmowy i naprowadza takową na znalezienie flaszki z napojem, którego spróbować trzeba. Podanie kieliszka przez pannę, oznacza przyjęcie gościa. Pan młody pije jej zdrowie, i gdy kieliszek podaje domownikom, wchodzi jego rodzice, i udając że niby szukają zbiegłego syna, mówią nareszcie: „kiedyż już nam tutaj tak zawsze ucieka, toć mu się tu u was coś podobać musi, i żeby więcej z nim nie mieć utrapienia, to już go wam musimy urządzić.“ Późem napiwszy się, zasiadają wszyscy do biało nakrytego stołu, zastawionego flaszką wódki z cynamonem i gwoździkami,

gzičką (urobionym twarogiem) żółto farbowaną kro-kosem, masłem, chlebem, a w czasie jesieni i czerw-nemi jabłkami. Gdy tak starzy z przywołanymi sąsia-dami radzą i handlują o wiano obojga narzeczonych, oni tymczasem miłą na boku prowadzą pogadankę.

W niedzielę następną rano idą do księdza, dają na zapowiedzie, a w poniedziałek natychmiast stawiają się w sądzie, jak nazywają *do zapisu*, gdzie urzęd-ownie bywa opisane wszystko, co rodzice obydwóch stron młodej parze dać obiecali; młodzi zaś zaraz po pierwszej zapowiedzi spraszają weselnych gości. Zo-natych nazywają zwykle gospodarzami, a na najwięk-sze nawet wesele nie więcej nad ośmiu zapraszają, oprócz tego kilku młodych, którzy przyjmują obowiąz-ki druźbów, druchów, swatów, dziewczęta zaś wzy-wają na druchny i swachny.

W sobotę przed weselem, nad wieczorem, schodzą się druźba i swachy, a wzięwszy wóz, skrzyпка i dudy czyli kozbizarza, gdzie ten rodzaj muzyki jest używany, z flaszką wódki jadą po druchne, swachny, a następnie po gości-gospodarzy. Muzyka gra przez całą drogę wesołe piosnki, jak n. p.:

Matko, matusiu moja,
Oddajcie mnie wczas do ludzi,
Niech mi się czas nie zmudzi,
Matulu moja. (bis)

Tymczasem młodzi, wtórując, wykrzykują: „Oj we-sele! da, da, da! oj wesele!“ Wchodząc do domów gospodarzy mających być na wesele zaproszonymi, druźba przemawia: „Przysłani tu do was jesteśmy, panie ojcie i pani matko, od Matki Boskiej, wszystkich świętych i państwa młodego, aby was prosić do kom-panii weselnej. Niech będzie pochwalony Jezus Chry-stus.“ „Na wieki wieki wieków Amen, odpowiada gospodarz z żoną. Witam was panie druźbo, druchno i t. d.“ Przystem witają wszystkich kolejno ściśnięciem ręki. Druźba nalewa kieliszek przywiezionej ze so-bą wódki, mówiąc: „Boże daj nam zdrowie i państwu młodemu szczęście.“ Późem wypija i podaje kieliszek pełny gospodarzowi, żonie jego i wszystkim domowni-kom. Gospodarz domu ze swej strony znów częstuje przybyłych wódką i chlebem, z twarogiem lub masłem, zastawionem na biało nakrytym stole. Muzyka w cza-sie tego rżnie wiwat, a wszyscy obecni jak mogą wyskakują, lub wzięwszy się za ręce, po kilka razy wywijają młynka, przyspiewując i tupiąc do taktu.

W ten sposób zwożą wszystkich gości, których państwo młodzi w progu domu weselnego witają z chlebem i solą w rękę, mówiąc do przybywających: „Witamy was mili, piękni, panie ojcie, pani matko, do grona weselnego i radziemy wam tём, w co cha-ta bogata.“ Muzyka gra *polskiego*, a druźba rozpoczy-na z panną młodą taniec, który następnie trwa tak długo, dopóki wszyscy z nią się nie obróca. Po-tém przechodzą w inne tańce, trwające do rana, aż do odjazdu gości do kościoła. Po każdym tańcu następuje wiwat, w wyżej opisany sposób, gdy tym-czasem druźba wszystkich kolejno wódką częstuje. Na przypiecku stoi stół biało nakryty, zastawiony chlebem drożdżowym, plackami, żółto farbowaną gzičką, masłem, powidłami, niekiedy miodem, zawsze zaś kilku dzbankami piwa i flaszkami wódki, na dowolny użytek weselnych gości. Druźby obowiązkiem jest pamiętać aby każdy został uczestowany i ażeby za-daniem gości zadosyć uczyniono. Swach utrzymuje porządek, przyczem dopomaga sobie dość grubą na-hajką wśród ciszności się około drzwi gawiedzi, dzieci i ciekawych ze wsi. Druchna wśród całej weselnej biesiady musi utrzymywać porządek i czystość w izbie. Jej obowiązkiem jest po każdym obiedzie lub wie-czerzy wymiatać z pod stołów porzucone kości, rano zamieść całą podłogę i polewać ją, ilekroć wśród tań-ca kurczy się zaczyna. Swachny nakoniec są na ogół-ne usługi kobiet.

Przed wsiadaniem na wozy, gdy już mają się udać do kościoła, stawają weselnicy w kóło, a jeden z ich grona, lub umyślnie w tym celu sprowadzony, roz-poczyna przemowę do przyszłych nowożeńców i gości. Potém druźba, a za nim swachy, druchny i swachny, obejmują kolejno za kolana gospodarzy i gospodynie, mówiąc: „Prosimy was, mili piękni, panie ojcie, pani matko, o błogosławieństwo Boże, Matki Najświętszej i wszystkich świętych dla państwa młodego.“ Toż samo czynią i ci ostatni, a wtedy otrzymują od rodzi-ców chleb i sól, które na gołe piersi chowają. Na-stępnie druźba bierze pannę młodą za rękę, prowadzi ją na wóz do wsiadania, muzyka gra smutno, a młodzi przyspiewuje:

A gdy na wóz siadała,
Ojca, matki wołała:
Niedajcie mnie brać matuchnu,
Nie dajcie mnie brać!

Matka do niej mówiła,
Z Panem Bogiem, z twoim drogim
Do ślubu już jedź.

Druźba wsadza na przedni wóz pannę młodą, dru-chny i swachny, w tyle muzykę, na inne wozy we-selnych gości, a na ostatni rodziców przyszłej pary. Potém druźba i młodzież wraz z panem młodym do-siadają wierzchowców, których grzywy przeplatane bywają czerwonymi wstążeczkami, a ogon podwiza-ny krótko tasiemką tegoż koloru. We wrotach podwó-rza na progu kładą siekiere, ostrzem do wnętrza po-dwórza obróconą. Gdy już wsiadli, druźba objeżdża wozy i konnych po trzykroć i za każdą razą stając przy każdym pojedynczym wozie, mówi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Witam was, mili i piękni goście.“ Późem stanąwszy na przodzie całego pocho-du, pędem na koniu przesadza przez próg we wro-tach, lecz tak, żeby nie ruszył siekiery. Toż samo za nim, czynią inni jeźdźcy i wozami przejeżdżają, poru-szenie zaś siekiery jest wróżbą nieszczęścia dla przy-szłych małżonków. Następnie cwałem ruszają, zatrzy-mując się za wsią na polu. Tu znów druźba w oko-ło wszystkich trzy razy objeżdża, jakby się chciał przekonać czy wszyscy ze wsi wyjechali, pochwala-jąc za każdą razą Pana Boga; poczem staje na pro-zdzie i mówi: „zobaczmy kto większy chwyt, druź-ba, pan młody, czy pan swat,“ puszcza konia pędem na wyścigi z towarzyszami swymi, aż do granicy wsi sąsiedniej. Tu się zatrzymują, druźba wraca do wo-zów, które się także zatrzymały, okola je znów trzy razy, pochwalając Pana Boga, i prowadzi wozy kłusem do jeźdźców, gdzie znów się zatrzymuje. Wita jeźdź-ców, pochwała Pana Boga, objeżdża ich trzy razy, poczem dopiéro z całym orszakiem udaje się do wsi parafialnej. Tam się naprzód wysuwa, pędem przy-bywa przed kościół, konia w miejscu osadza, pochwa-la Pana Boga i objechawszy po trzykroć lud przed kościołem stojący, wraca do wozów i prowadzi stęp-em cały pochód przed kościół. Zeskoczywszy z konia, oddaje go swachowi i spieszy aby zsadzić z woza pannę młodą, druchny, swachny i wszystkich gości kolejno, których następnie prowadzi do kościoła i sta-wia mężczyzn po lewej stronie kościoła, kobiety zaś przed wielkim ołtarzem. Pan młody zabiera miejsce między druźbą i swachem, za nimi gospodarze, a w ty-le ojcowie pary. Panna młoda także kłękła między druchną i swachną, za nią weselne matki, w tyle zaś matki przyszłych nowożeńców.

Wśród nabożeństwa które się teraz odprawia, przy-patrują się ubiorom weselników.

Stroju mieszkańców w. ks. poznańskiego w różnych okolicach nie będziemy opisywać, gdyż byłby to przed-miot osobaję rozprawki. Przyjmiemy więc granatową, dość długą sukmanę, jako najpowszechniejszą. Na niej ma druźba z lewego ramienia spadającą, na prawym boku spiętą, zieloną jedwabną chustkę, suto czerw-nemi wstążkami ustrojoną. W niektórych zaś okoli-cach nosi druźba biały ręcznik od prawego ramienia do lewego biodra, naksztalt wojskowej szarfy, także licznymi kolorowemi wstążkami upstrzony. Strój ten czy oznakę weselnej godności, druchna sprawia swo-im kosztem dla druźby, swachny dla swachów. Lewą rękę i pas ma druźba także przewiązane czerwoną, dość szeroką wstążką. W rękę biała chustka i bat ustrojony gałązką rozmarynu, z czerwoną wstążeczką. Na czarnym kapeluszu wielki kwiat robiony, suto upstrzony żółtą blaszką czyli pozłotkiem i gałązką roz-marynu. Swachy podobnie ubrani jak druźba, z tą tylko różnicą, że zamiast zielonej jedwabnej chustki spadającej z ramienia, mają chustki brązowe i nie noszą przepaski w pasie ani na lewej ręce. Pan młody w stroju świątecznym, ma rurkę rozmarynu spiętą białą wstążeczką na lewym boku piersi, w tyle zaś u lewego guzika od surduta za jeden róg przy-piętą białą chustkę, a w rękę różgę brzożową, zwi-żaną białą wstążeczką i ozdobną także rozmarynem. Gospodarze w świątecznych szatach lub płaszczach; w tylny kieszeni każdego widać do pół wyłożoną chustkę kolorową; na piersiach i u siwych czapek gałązki rozmarynu.

Panna młoda we włosach uczesanych, ma ozdobi-oną głowę wieniec z robionych niebieskich kwiatków, przeplatanych rozmarynem. Na szyi kołnierzyk lub tiulową fryzkę; niebieska chustka spada na ramionach aż do pasa; suknia niebieska, perkalikowa lub wel-niana. Druchna i swachny mają ten sam ubiór, tylko że przystrojony kolorem czerwonym. Gospody-nie występują w niebieskich sukniach i chustkach, granatowych kabatach i czerwonymi wstęgami stroj-nych czépkach. Gdy po skończonem nabożeństwie kapłan stanął przed ołtarzem, druźba bierze pana młodego za lewą rękę i prowadzi go na pierwszy stopień ołtarza; przystępuje potém do druchny, ale

gdy ta iść z nim nie chce, zwraca się do swachen, które mu także odmawiają. Wtenczas dopiero bierze pannę młodą i stawia ją po lewej stronie pana młodego, a gospodynie kłękają tuż za kłęczącymi na stopniach ołtarza narzeczonymi. Jedna z matek wkłada im na głowy wianeczki rozmarynowe, które kapłan błogosławi w miejsce używanych pospolicie w innych stronach ślubnych obrączek, poczem składa je znów na głowy nowożeńców. Wtenczas te wienice bierze jedna z matek, po weselu zaś oddaje je państwu młodemu, a ci robią z nich potem pierwszą kąpiel pierworodnemu dziecku swemu.

Po skończonym obrzędzie ślubnym, obchodzi całe weselne grono wielki ołtarz, składając przy całowaniu krzyża ofiarę dla kościoła. Potem drużba wychodzi pierwszy z kościoła, zwoluje dudziarza i skrzypków, wychodzących wita na cmentarzu, życzy szczęścia nowożeńcom, a po za murem i obwodem cmentarza zaczyna śpiewać, przy wtórowaniu muzyki i swachów, dopóki pan młody nie wróci od księdza, do którego winien iść, celem zapisania aktu ślubu i zapłacenia należności. Gdy już drużba wsadził wszystkich na wozy, wśród muzyki, krzyków i śpiewek, jadą stępo przez wieś. Jeżeli jest karczma we wsi, zatrzymują się w niej wszyscy; tam nowożeńcy przetańczą trzy razy, a pan młody do trzech wiatów obowiązany jest dać po kwarcie wódki. Za wsią jeźdźcy ścigają się do granicy. Tu się zatrzymują i drużba łamie biczysko pierwszego woznicy, które druchna zapłacić musi. Państwo młodzi schodzą z woza, drużba daje cepy panu młodemu, aby złożył próbę młocki, potem daje pannie młodej kądziel pakul i wrzecziono, aby okazała próbę zręczności w przedzeniu; poczem gdy znów wsiedli na wozy, muzyka zaczyna grać stosowne melodie, a wszyscy śpiewają weselne pieśni.

Konni ścigają się aż do karczmy miejscowej, w której tak samo jak wprzód obowiązani są trzy tańce przetańczyć. Przez wieś jadą tęgiego klusa i przeskakują pędem przez próg podwórza, na którym leży znów siekiera, lecz teraz obrócona ostrzem ku wsi. Ma ona niedozwalać wstępu duchom i złym ludziom w dom weselników. Drużba wita wszystkich na podwórzu, zsadza ich z wozów, następnie wita nowożeńców i gości chlebem i solą, mówiąc: „Witam was, mili, piękni, w dom weselny i będziemy wam tém radzi, w co chata bogata.“ Polski taniec rozpoczyna zabawę, a po każdym tańcu następuje poczęstne z przekąską. Wieczorem zastawiają kozły, kładą na nie obok siebie dwie deski i taki stół nakrywają białymi pokryciami. Drużba i swachy roznoszą malowane talerze, szykują gości aby każdy miał swe miejsce i zastawiają wielkie misy gliniane z kluskami w rosole, a w każdej leży tyle kawałków mięsa, dla ilu gości misa owa jest przeznaczoną. Drugie danie stanowi kwaśna kapusta z mięsem, czyli bigos; trzecią flaki z kaszą lub jagłami. Muzyka w czasie obiadu gra znaną melodyą kościelną pieśni: „U drzwi Twoich stoje Panie.“ Począwszy od zwożenia gości aż do pierwszej wieczery, skrzypek używa małych skrzypków bardzo piskliwych, zwanych *mazanki*, a w braku ich przewijają szybkę zwyczajnych skrzypiec prawie na środku, przez co wydają głos piskliwy, podobny do mazanek.

Dopóki mazanki grają, winien młody pan swoją wódką i piwem gości częstować, oraz wszelkie zrządzone szkody sam ponosić. Od czasu zaś gdy skrzypce grać zaczną, wszystkie koszta na wódkę, piwo i inne nieprzewidziane wydatki lub szkody, goście weselni ponosić winni. Do kolacji zachowują goście ubiór świąteczny, który mieli w kościele; odtąd zrzucają sukmany biorąc sukienne kabaty, z granatowego sukna i zabawa trwa do rana.

Drugiego dnia mężczyźni wdziewiają białe spodnie, czerwone kamizelki rakowego koloru i czerwono-pstrekurtki wełniane. Kobiety w drugim dniu biorą szorce bez rękawów, zwyczajnie czerwone, i białą koszulę z szerokimi rękawami, ściągniętą u dłoni paseczkiem. Około południa drużba i swaty sprowadzają druchny, swachny i gości, idąc po nich z muzyką od domu do domu, tańcząc przy tém po drodze, nawet wśród największego błota, i zabawa idzie znów swoim torem aż do wieczery. Przy stole zastawiają na pierwszą potrawę kluski z czerniną, potem mięso z brukwią, nakoniec jagły ze skrzeczkami, lub gęsto gotowane jagły w mleku. Wieczera bywa zwykle około dziesiątej, a około północy następują ocepiny panny młodej. Muzyka gra i wszyscy śpiewając tańczą z narzeczoną kolejno ostatni tańce. Tymczasem męzkatki upatrują chwilę aby ją porwać, lecz za każdą razą stara się młodzież temu przeszkodzić, i długi czas odbijając swą zdobycz, wykrzykuje: „Oj nasz! oj świeci się!“ Nakoniec jednak męzkatki porywają pannę młodą i zamknąwszy ją w komorze, śpiewają:

Oj już ją mamy,
Już wam jej nie damy,
Zamkniemy ją do komórki,
Damy chleba i gomółki.

Na co młodzi:

Nie chcę chleba ani sera,
Wolałabym kawalera,
Bo chleb i sér mam każdy dzień,
Kawalera raz na tydzień.

Poczem wchodzą chłopaki przebrane za Żydów, przystrojone w najdziwaczniejsze łachmany, z workiem na plecach, zwyczajem Żydów handlujących naphanym skorupkami, pakulami, lub plewami. Pytają czy niema czego na handel i wchodzą w targ o jałowicę, którą im matki weselne chcą sprzedać. Żydzi każą ją sobie pokazać, czy wielka, ładna i tłusta. Matki bardzo zachwalają, a tymczasem panna młoda udaje kulawość, Żydzi ganią, a młodzi śpiewają:

Tys od pola, ja od pola,
Krzywe nogi masz Magola,
Dajże je zobie sprostować,
Nie będzie cię nie kosztować.

Żydzi szkalują jałowicę, powstaje spór: goście szarpiają Żydów, ci niemilosiernie bronią się kijami, co przecież wcale nie uchodzi za obrazę. Tak dobiwszy targu, prowadzą ową jałowicę do tańca, aby się rozbiegła i nie kulawiła. Wszyscy tańczą z panną młodą kolejno, śpiewając:

Boli mnie noga w biodrze,
Nie mogę biegać dobrze,
Ale tańcować to mogę,
Choć chustką obwiążę nogę.

Po ukończonej wieczery, przy ocepinach, kładą na talerz pannie młodej na czépek, każdy wedle możności i woli. Potem posyłają sobie wzajemnie podarunki najrozmaitsze na przykrytym talerzu, n. p. kości, grosze, kamyczki, często wróbla żywego, a nawet mysz lub żabę. Im dziwniejszy podarunek, tém więcej wzbudza wesołości i żartów. Nad ranem dają podkurek czépcowy z gęsięj pieczeni.

Trzeci dzień i czwarty taki sam jest jak pierwszy. Po każdej wieczery kucharka niesie ciepłą wodę na misie do obmycia rąk, gdyż widelców rzadko używają, a pomocnica kucharki niesie na pogrzebaczku opalonym przywiązany ręcznik do utarcia się, z czerwona wstążką i rozmarynem, za co jej goście wpuszczają w wodę po kilka groszy, a często guzik lub skorupkę.

W niedzielę następną po weselu, idzie panna młoda do wyvodu. Na cmentarzu po nabożeństwie zbierają się młodzi i gospodarze weselni, przystrojeni na kapeluszach czerwonym robionym kwiatem. Idą potem do domu państwa młodego i tam uraczeni obiadem, bawią się późno w wieczór.

Opisawszy w ten sposób wesele, przejdźmy teraz do innych zwyczajów. W wilią Bożego narodzenia biorą gospodarze pęki słomy na jutrznię i mszę zwaną pastoralką. Tą słomą owijają potem drzewa owocowe w sadach, aby lepiej rodziły. Wieczera w wilią, ze snopkiem siana pod stołem, bywa skromnie ale z wielką uroczystością obchodzoną. Po wieczery wychodzą parobcy i dziewczki na ulicę wsi i rzucają stary trzewik nogą w górę, wróząc z tego że z tej strony ku której pantofel przodem swym padnie, przyjdzie narzeczony lub narzeczona. W pierwsze zaś święto z przyniesionej z kościoła słomy wyciągają słomki. Jeżeli wyciągnięta pociągnie za sobą drugą, oznacza to zamęcie w nadchodzącym roku; do tego jeszcze prosta słomka oznacza piękno, krzywa zaś chromego kochanka lub kochankę.

W tłusty czwartek wyprawiają dziewczki parobkom *cumber*, oplacając same koszta zakąsek wódki i muzyki, za to że parobcy chodzili do nich wieczorem do kądzieli.

W zapusty wspólna muzyka i zabawa w karczmie. W wielkanoc po rezurekcyi ścigają się wozami do domu, wróząc sobie że kto wyścignie, pierwszy skończy żniwo.

Po południu następuje dyngus: parobcy łapiają dziewczki, polewają je wodą, a niekiedy po kilka węborków jednej się dostanie.

W zielone świątki stroją chłopcy wiejscy niedźwiedzia, to jest obwijają jednego z pośród siebie w grochowy i brzozowe gałęzie i obchodzą z nim po gospodarzach z koszykiem i rozenkiem, zbierając co im dadzą, jak: jaja, okrasę, chleb i pieniądze. Wszystko to przeznaczają na zabawy dla *pastorków*, to jest dla tych, którym nie wolno iść do karczmy, gdy się bawią starzy.

W ostatnie nieszpory Bożego Ciała wiją i dają święciki wianki w kościele z rozmaitych ziół, jak: z ma-

cierzanki, lipiny, jabłeczniaka, dzikich gwoździków, rozchodnika, targownika, rosiczki i innych.

W wilią świętego Jana Chrzciela po zachodzie słońca zatykają w ploty, wrota, dachy i drzwi domów gałązki olszyny, które tkwią aż do 25 czerwca. Wtenczas przed wschodem słońca wyjęte, zachowują starannie pod dachem. Mają zaś te gałązki być skuteczne na wszelkie rany i mieć moc odpędzania złych duchów.

Także w wilią św. Jana Chrzciela po zachodzie słońca udają się kobiety na bezdroża, łąki i pagórki, gdzie zbierają rozmaite zioła, n. p. czarcie żebro, odczyne, czysciec, laseczki Pana Jezusa, którym wielką moc lekarską przypisują, lecz zerwanym tylko w tej nocy.

W Matkę Boską zielną (15 sierpnia) święcą makówki, marchew, słoneczniki, bielice, ziele piorunowe, kłosa wszelkich gatunków zbóż i zioła w tej porze kwitnące.

Ze św. Michałem nastaje na pastwiskach wspólność paszenia, według przysłowia: „Święty Michał granice pospychał.“

Około św. Marcina nadchodzą kiermasze, czyli uroczystość coroczna poświęcenia parafialnego kościoła. Każda wieś z kościołem ma swój osobny tydzień; po nabożeństwie jest zabawa w karczmie, przyczem mieszańcy występują bardzo hojnie, spraszając z sąsiednich wsi krewnych i przyjaciół i racząc ich wedle możności.

Siekierkę chowają zawsze pod łóżko, gdyż jej przypisują wzbronienie przystępu zlego.

Zwyczaj jest ogólny u ludu pozdrawiania się nawzajem pochwaleniem Pana Boga, choćby wchodząc do osób wyższych stanowiskiem lub urodzeniem, a nawet do niechrześcian. Spotykając zaś jeden drugiego mówią: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“ i odebrawszy zwykłą odpowiedź, dodają: „Witajże Wojciechu“ (lub jakie inne imię), a spotkany na to: „Bóg zapłać, ja was także witam.“

W oktagwę Bożego Ciała stroją kęsiół i ołtarze na wsi zielonemi brzożkami czyli majem, a gdy już processya odchodzi od ołtarza, oblamują gałązki tych brzożek i zatykają je w kapuscie, lnice, konopiach, którym we wzroście dopomagać i od zlego bronić mają. Bardzo silna jest jeszcze wiara między ludem w czarownice, złe duchy, duchy pokutujące, a mianowicie powszechne są zabobony. Każdą chorobę przypisują nie naturalnemu następstwu różnych zwyczajnych przyczyn, ale złej kobiecie, to jest czarom. Dlatego też rzadko udają się do lekarzy, tylko do tak zwanych *mqdrych*. Są to zwykle starzy owczarze, pastuchy, lub stare baby kaléki. Ci, znając skutki niektórych ziół, leczą niemi czasem szczęśliwie, lecz aby sobie zyski z leczenia nadal zapewnić, nigdy ziół tych nie wymieniają, ale je sami przyrządzają, licznymi formułkami przystrajają i sposobu ich użycia nikomu innemu powiedzieć nie chcą. Tak używając ślepego zaufania u ludu, nazywają chorobę według swego widzi mi się, a badając przyczyny powstania choroby, starają się zdaleka wysledzić, na kogo pada porozumienie chorego iż go oczarował. Powiadają mu w skutek tego z której strony choroba przyszła, że szczęściem iż nie całą chorobę zarwał, bo ta lub owa przyczyna zniweczyła zamiar złej kobiety, a więc wyzdrowieje, jeżeli dopelni warunków które mu będą wskazane. Lekarstwo, prócz ziół, bywa często bardzo dziwne i tajemnicze. Tak n. p. każą brać piasek grobów, tak aby nikt nie widział, i to w piątek o pewnej godzinie, albo uzbierać macierzanki, rozchodniku, krwawniku, i t. p., z każdego gatunku po trzy rośliny, z dziewiąciu różnych miejsc. Te nagotować w garnku starym, dawno nieużywanym, albo w nowym lecz także jeszcze nie używanym, dodać do tego dwie szczypty soli, tak aby lewa i prawa ręka sypały i aby nie wskazujący ale serdeczny palec szczyptę stanowił, mięszać dobrze w garnku łyżką nową, po zażyciu owego lekarstwa przetrząść łyżką przez głowę, a potem zanieść ją pod jaką figurę, albo na rozstajne drogi, gdyż od ścisłego wypełnienia tego przepisu ma zażyć wyzdrowienie. Lud przeto nigdy nie może odgadnąć prawdziwego sposobu i środków leczenia chorób, gdyż myśli że tylko ceremonie są głównymi warunkami pomocy. W czasie leczenia nikomu nie z domu nie pożyczają; osobę przybyłą aby coś pożyczyc, oznacza *mqdra* za sprawczynią zlego, dodając, że z żalu iż się jej sztuka nie udała, chce przez pożyczyczenie jakiego przedmiotu odczarowaniu przeskodzić.

W pierwszych sześciu tygodniach po urodzeniu się dziecka, nie także z domu nikomu nie pożyczają, sądząc iż czarownice przez pożyczyczenie czego starają się odebrać dziecku szczęście, jakie przez chrzest uzyskało.

We wsi swojej nie nikomu do siewu albo chowu sprzedać nie lubią, twierdząc że przez to szczęście się pozbędzie. Aby zaś nabyć szczęście, zrywają z wyborowych

dzą i wolą Boga się dzieje, lubo często największe niedorzeczności te gusła w sobie mieszczą. Każdą czynność przedsięwziętą rozpoczyna zwykle od przeżegnania się znakiem krzyża świętego, nawet wychodząc na dwór z domu. Udając się zaś w podróż, żegnają się tymże znakiem, umaczawszy poprzednio palce w święconej wodzie, którą zawsze w kropielnicze przy drzwiach mają zawieszoną. Furman przedź w miejscu się nie ruszy, dopóki biczem przed końmi nie nakreśli krzyża, a ruszając z miejsca dodaje, „hej w imię Boże!“ Rzucając ziarno w ziemię przy siewie, rozpoczynając orkę, żniwa lnu, koszenie trawy, zgoła każdą robotę, czynią zawsze krzyż święty i wzywają świętych patronów. Szczególniej zaś oddają się opiece Najświętszej Panny Maryi, na której samo wspomnienie okrycie głowy podnoszą, dla większego okazania szczególniejszej czci dla tej patronki Polski.

Obowiązki religijne zachowują z największą ścisłością; ztąd też wynika u nich wysoki szacunek dla kapłanów i sług kościoła. Posty ściśle bywają zachowywane, a w braku oleju, sól tylko miejsce okrasz zastępuje. Ktoby się odważył w czasie wielkiego postu lub suchych dni używać nabiata, uważany bywa za lichego katolika i Polaka, co u ludu wiejskiego jedno i toż samo ma znaczenie. Wszystkie wille do Matki Boskiej, do świętych patronów, jak n. p. św. Wawrzyńca od ognia, św. Benona patrona bydła, św. Cecylii od bólu zębów, św. Bartłomieja i Rocha od zarazy morowej, św. Walentego od wielkiej choroby, św. Józefa opiekuna dobytku domowego i innych, bywają jak najściślej nawet i suszeniem w tym dniu zachowywane.

Kmotrowie, to jest tacy którzy komuś trzymali dziecko do chrztu, choćby bracia pomiędzy sobą, albo ojciec z swym dzieckiem, mówią sobie zawsze przez „wy“, a nazwanie przez „ty“ ze strony kmotra uchodzi za największą obrazę. Uszanowanie względem starszych okazują także przez nazwanie ich w liczbie podwójnej; starszy zaś młodszemu, bez względu na jego mienie, mówi „ty“. Mówiąc o rodzicach do innych ludzi, nazywają matkę lub ojca „oni“. W ogólności życia ludu wiejskiego w Wielkopolsce można nazwać patryarchalnym. Jednakowo się ubierają, stroją, wspólnie jedzą, bawią się, pracują, zgoła całe ich życie jest równe. Ojciec domu jest naczelnikiem całej rodziny, i ani żona, ani żadne dziecko, choćby dorosłe, bez wiedzy jego nie uczyni, a nawzajem ojciec nawet najbagatelniejszej sprawy bez porady żony, dzieci i domowników nie rozstrzygnie. Jadło jest u wszystkich w całej okolicy toż samo. Żaden gospodarz, choćby najmajetniejszy, nie je nic innego, tylko to co jego czeladź, i to wspólnie z jednej misy. Potrawy u nich mają swój czas i przepisany porządek jakim bywają dawane. Na przykład od pierwszego święta Wielkiej noży jedzą na śniadanie kartofle z gzičką. To trwa do Matki Boskiej siewnej (8 września), poczem do św. Marcina następuje polewka z kartoflami, odtąd zaś do wielkiej noży jedzą groch z kwaśną kapustą i tartami kartoflami. Obiad bywa również wszędzie ten sam, i to tak, że co latem dają na śniadanie, to zimną na obiad, i naodwrot. Wieczerę stanowią kluski, kasza, jagły, kartofle lub kruszanka. Także praca, szczególnie w polu, ma swe stałe i prawie odwieczne przepisy. Od Matki Boskiej siewnej rozpoczynają siew żyta, na św. Józef siew grochu i rosady, na św. Wojciech sadzenie kartofli, na św. Marek siew owsa, na św. Filip siew tataraki, na św. Stanisław siew lnu, w pierwszą pełnię lub now majowego księżycy siew prosa. Szczególniejsze znaczenie ma u ludu pełnia księżycy, twierdzą bowiem że siew pod pełnię skuteczniejszy lepiej plonuje, a zbiór ma być obfitszy; słomy zaś lub siano ściętego na nowiu bydlę w przekonaniu jego nie jada.

Sołtys jest jakby ojcem gminy i zostaje w wielkim poszanowaniu nawet u najstarszych jej członków. Powagą urzędu swego usmierza wszelkie niesnaski między gminą i tylko takie sprawy, które ważnością swą zasługują na wyższą instancją, wytaczane bywają przed dziedzica lub księdza. Pokłóci się n. p. dwóch członków gminy, to pokrzywdzony niesie złotówkę do sołtysa na prawo, sołtys przywołuje oskarżonego i sprawa już załatwiona. Przegrywający bywa zwykle osadzony na zwrócenie wyłożonej złotówki, a w miarę występkę i na zapłacenie funta wosku do kościoła. Złotówka dana na prawo albo bywa przepitą przy pogodzeniu się stron, albo użytą na cel dobroczynny.

Sołtys niczego bez wiedzy gminy nie przedsięwzię. Każdy nakaz zwierzchności lub interes obchodzący ogół komunikuje całej gminie, którą do mieszkania swego zwołuje. W tym celu w niektórych miejscach wysyła sołtys kawał krzywego drewna, zwany „krakula lub krępulec“, do pierwszego sąsiada, z nadmienieniem czasu w którym się zebrać mają. Cecha

(Dodatek do Nur 109 Tyg. Ilustr.)

ta obchodzi całą wieś i wraca znów do sołtysa. Oznajmioną sprawę rozbiegają wszyscy i po zebraniu ogólnego zdania, polecają sołtysowi wypełnienie, stosownie do woli ogółu.

Mężczyznom wszędzie i zawsze oddawane bywa przed kobietami pierwszeństwo. Nawet w drodze do kościoła zawsze mężczyzna idzie przodem, i tak samo przy robocie w polu.

KTO WINIEN.

Komedia w dwóch aktach,

Maryi Ilnickiej.

(Dokończenie.)

AKT III.

Salon jak w pierwszym akcie, po lewej stronie stolik z papierami, major i Kaźmirz wchodzi.

Scena I.

MAJOR i KAŻMIRZ.

KAŻMIRZ.

Po coś tu mnie sprowadził? po co mnie majorze Narazasz na jej widok, jej wzrok, uśmiech może?...

MAJOR.

No mój chłopcze, raz musisz zobaczyć ją przecie, A lepiej tu, jak indziej między ludźmi w świecie.

KAŻMIRZ.

Lecz dzisiaj! dzisiaj właśnie! Nie, szaleństwo robię; Bo miesiąc, to niedosyć by przetrwać w sobie Wszystko, co serce próżno zapomnieć się sili. Majorze! com ja uczył w tej nieszczęsnej chwili, Gdy padła na me ręce jak kwiatek podcięty!.. A gdy w jej pokoiku, pod obrazkiem świętej, Zobaczyłem nieszczęsnej onej róży kwiecie, Wszystkom zrozumiał nagle, wszystkim pojał!...

MAJOR.

Przecie!...

Mądry Polak po szkodzie!...

KAŻMIRZ.

Majorze! majorze!

Któż serce wyjąć z piersi i czytać w niem może? Któż na tkance domysłów szczęście swe bezpieczy, Kiedy loika czynów otwarcie im przeczy?

MAJOR.

Już to, Bogiem a prawdą, jest tu trochę winy Najpierw pani matki, a potem dziewczyny, Że żyjąc tak z dnia na dzień za innych przykładem, Nie myślały gdzie mogą zająć tym owczym śladem. Lecz co tu próżno gadać, gdy rzecz już skończona!.. Mężczyzn nieraz gubiła duma obrażona, A cóż serce niewieście tknięte tak boleśnie!...

KAŻMIRZ (gorzko).

Zgoiło się majorze, zgoiło dość wcześnie... Ile radca zapisał?

MAJOR (prostodusznie).

A... już to wiész o tém:

Na szpilki tysiąc czątych obrączkowem złotem, A trzykroć sto tysięcy przy ślubnej umowie. Słuchaj: (czyta leżącą na stoliku intercyzę). Na Żabięj Wólce, Borkach, Odrzynowie!...

KAŻMIRZ.

A majorze! cóż to mnie biédaka obchodzi, Ile pani radczyni da radca dobrodziej? Co mnie obchodzi?...

MAJOR.

Sumka niezła na te czasy!...

KAŻMIRZ (niecierpliwie).

Wiem, wiem; będą koronki, brylanty, atłasy... (W czasie ostatnich słów Kaźmirza, Helena w białym ślubnym stroju wchodzi głównymi drzwiami i słucha).

Scena II.

Ciż i HELENA.

HELENA (szydyczno-wesołym tonem).

Jak to pan wysmienicie zgadłes co ja lubię!... Ponieważ do Paryża wyjeżdżam po ślubie, Zrobię piękny zapasik przez wspomnienie pana... (do majora przerzucającego papiery). A niedobry majorze! od samego rana Czekam cię i wyglądam na ważną naradę!

Czy do kościoła memi siwkami pojedę, Czy lepiej uprządz radcy gnidosze wspaniale? A karetę—widziałeś? cóż, pieścił do całe!..

(do Kaźmirza).

Wewnątrz wybita białym ljońskim aksamitem, Na wierzchu wszędzie złoto mięsza się z błękitem, Prawda, że to przeslicznie?

KAŻMIRZ.

Tak pani, przez życie Najgustowniej na białym jechać aksamicie.

HELENA.

Jak my dziś budująco zgodne mamy zdanie!...

KAŻMIRZ (kłaniając się).

O! są rzeczy, na które nasze piękne panie Zawsze godzić się raczą!...

HELENA.

Zwłaszcza doświadczone,

Co już złudzeń czarowną rozdarły zasłonę, Ażeby w koło siebie spojrzeć prawdy okiem. Mój Boże! pod jak świętym nadziei urokiem Idzie na świat dziewczyna— z rumieńcem na twarzy I z cichą leżką w oku... O czém ona marzy? Co jej szepczą w snach czystych drgań serdecznych bicia? Co ona chce dać życiu?... co chce wziąć od życia?...

KAŻMIRZ.

Karetę z aksamitem, kozetkę w salonie; A jeżeli tam, broń Boże, zład ciepło zawionę, Aby rumieniec w gminne nie przekrasniał błyski, Flakon rzeźwiących perfum i wachlarz paryzki!...

HELENA.

A... pan jeszcze przypuszczasz potrzebę wachlarza?.. Lecz to chyba młodziutkim dziewczątkom się zdarza, Bo świat prędko nas chłodzi atmosferą swoją!...

KAŻMIRZ (smutnie).

Prawda!.. Panie w gazowe sukienki się stroją!.. A szkoda, szkoda przecie świętej iskry onej, Ręką bożą w niewieścich piersiach roznieconej! Szkoda tej ojców naszych stariej, dobrej doli, Gdzie połowa tych cierpień, co dziś w piersiach boli, Koła się przy jasnem ognisku rodzinnem!...

HELENA (żywo).

O, wtedy inni ludzie i ten świat był innym: Wtedy mężczyzna kochał, więc i w miłość wierzył!..

KAŻMIRZ.

I jak do swego portu z ufnością doń mierzył, Bo mu była pomocą życia, a nie trudem. Przezeń słomiana strzecha w niebo rosła cudem, Aż dworek modrzewiowy wziął kształty świątynicy, Gdzie pośród ścian bielonych czystej tajemnicy, Pełniła się ofiara zanego żywota. A miłość, jak cudowna jakaś smuga złota, Tak spromieniła wszystko żywem światłem swoim, Że szara nić domowa cudów lśniła strojem.

HELENA.

O tak, to było szczęście! szczęście takie święte, Że dzięki za nie, w ziemskie słowa nieujęte, Stała niewiasta Bogu modłą drżącą łezki!... (Ukradkiem łzę ociera).

KAŻMIRZ (przybliżając się ku niej).

Pani! perłę zgubiłaś z skarbonki niebieskiej!...

HELENA (z smutnym uśmiechem).

O mam już dosyć pereł—zimne, chociaż lśniące!.. To była raczej rosa!.. Dziecko ja marzące, Tak mnie rozkołysały tych kilku słów czary, Żem widziała przed sobą nawet dworek stary, Nawet lipę zieloną ze świętym obrazkiem; A pod lipą, przed zbytnim słońciami się blaskiem, Modliła się niewiasta — dziękowała Bogu, Że jej tak dobrze, cicho w domowym jej proggu, Że jej tak wonno, jasno w domowym jej sadzie. Nieboga! aż na serce obie ręce kładzie, Aż łyż sznurkiem się toczą.—Achl bo teraz ona Słodkie słowa szepnęła—teraz rozrzuconą Prosi Boga, by z białym swym rąbkim nad czołem Była zawsze tej cichej zagrody aniołem; By strzegła to co drogie, co słabnie podniosła, W cieniu gwiazdką świeciła, w skwarze cieniem rosła!...

KAŻMIRZ.

O! Bógby ją wysłuchał, wysłuchał był pewnie, I te pióra anielskie, któremi powiewnie Można lecieć ku niebu, nie zbiegłszy z swęj ziemi, Bógby je dał niewieście: unoszona niemi Aż przed tronuby Jego dosięgła podnoże I wszystkie bóle nasze wydała Mu może, I może przybliżyła nawet łaski chwilę!.. O czemuż! czemuż skrzydła wybrała motyle,

I tylko nad poziomem już niemi migota,
I musi biedna szukać dla nich—pyłu złota?..

HELENA (*przyciskając ręce do czoła*).

Nie wiem... w cieniu gdzieś tęczy malowanka przysłał..

KAŹMIRZ (*pochylając się ku niej*).

Jeszcze, jeszcze drży łezka co na rzęsach zwisła,
I może jeszcze dawne błysnie w niej widzenie?
Może niewiasta w niebo podniosła spojrzenie?
Może tęsknotą chmurki zdjęły ją srebrzyste?
Z grobów może się próchy ozwały ojczyste
I zawołały na nią dawnym jej imieniem,
Aż padła na tę ziemię z córki uściśnieniem
I drżącymi ustami wyssała z niej ciepło,
A serce, co pod zimnem rogówki zakrzepło,
Może drgnęło nareszcie? bólem odkupiona,
Może po dawną świętość wyciągnie ramiona,
A stary pacierz matek może łaskę zjedna?..

HELENA (*ledwo wstrzymując łzy*).

Nie wiem panie Kaźmirzu!.. nie już nie wiem biedna!

MAJOR (*wstając od stolika, gdzie dotąd czytał*).

Coś jak radcy karetę stuknęło u bramy...

HELENA (*opamiätując się*).

Mamo! dłączegóż dotąd jeszcze niema mamy?

MAJOR.

Poproszę jej tu zaraz, a za jedną drogą
Wyrzuję na dół, lub raczej posłę wyrzucić kogo.

(*wychodzi*).

Scena III.

HELENA i KAŹMIRZ.

(*Chwila milczenia. Helena pomieszana bawi się zasłoną ślubną, Kaźmirz staje przy oknie i przyciska czoło do szyby*).

HELENA (*nieśmiało*).

Kto przyjechał?..

KAŹMIRZ.

Kto? nie wiem... wpatrzyłem się właśnie
Jak dziś słońce posępnie za chmurami gaśnie.

HELENA.

Jutro rankiem zaświeci...

KAŹMIRZ.

Jutro blaski nowe.

Od zachodu do wschodu czasem na połowę
Tak się rozłamie życie, że już niema siły,
Któraby te dwa brzegi, jak brzegi mogiły,
Zdołała spojrzeć z sobą...

HELENA (*smutnie*).

Prawda.. jutro rano

Już moje dni dawniejsze w tym kątku nie wstaną,
Jutro już mnie świat nowy otoczy dokoła:
Nikt na mnie po imieniu dawnym nie zawoła,
Dawnymi życzeniami nikt mnie nie powita,
I zanim znów to słońce na niebie zaświta,
Już wszystko inne, nowe muszę mieć nieboga,
Nawet dla snów marzenia i pacierz dla Boga!

KAŹMIRZ (*z wyrzutem*).

A ja pani? cóż jutro zostawić mi może?
Chyba boleść wspomnienia...

HELENA.

Wspomnienia... mój Boże!

Ja biedna nawet tego z sobą wziąć nie mogę!..
Panie Kaźmirzu! na tę nową życia drogę
Wszystko dzisiaj pożegnać muszę po kolei:
Od tych cichych ścian starych, do łzy, do nadziei,
Wszystko... Panie Kaźmirzu! podajmy dłoń sobie
Bez gniewu, bez gorczy,—jutro o tej dobie...

KAŹMIRZ (*chwytnąc ją za rękę*).

Ta dłoń będzie innego... jutro obcy ludzie
Uklonimy się sobie, gdy w salonów nudzie
Zejdziemy się, z świętecznym na ustach uśmiechem,
A jeśli drgną nam serca—ten dreszcz będzie grzechem!
Grzechem będzie, gdy oczy zbiegną się ukradkiem,
Grzechem ciche życzenie, ażeby przypadkiem
Spotkać się na ulicy... przejść około siebie...

HELENA.

Nie mów! nie mów pan dłużej! jest mój anioł w niebie...
Anioł—stróż serc niewieścich! Co wieczór, co rano
Będę się modlić biedna...

KAŹMIRZ.

Z twarzą zapłakaną

Co dzień będziesz wołała, aby Pan Bóg w tobie
Zabił to, co jest życiem.—Czemu raczej w grobie,
Czemu się raczej w trumnę nie położyć żywa?

HELENA (*z płaczem*).

Cóż więc mam robić? co mam począć, nieszczęśliwa?..

KAŹMIRZ (*gorzko*).

Nie wiem... Może się stroić w te pajęczę tkanki,
Z papieru cięte kwiatki, złożone gałganki,
Co na drodze niewieścicj tak się świecą jasne,
Że biegnąc ku nim biedna, zdepcze szczęście własne,
Zdepcze serce kochane, i nie wie, niestety,
Czy ma się martwą lalką stać z żywej kobiety...
Ale ty płaczesz? Pani! Heleno! mój Boże!..
Daruj mi... ja szalenie! ja sam winien może!..
Ja... świat... losy... czy ludzie... nie wiem kto rozrywa
Przez Boga i przyrodę związane ogniwa,
Kto traci skarb ostatni ojcowizny naszej
I miłość od domowych progów naszych straszy?
Nie wiem... cierpienie miota nazbyt gorzkie słowa,
Ukochana! stracona! bądź zdrowa! bądź zdrowa!..

HELENA.

Bądź zdrow!.. Czemużes w serce kobiety nie wierzył?
Czemuś w nie iskrą ducha swego nie uderzył?
Czemuś je zakląć nie śmiał na przeszłości bole
I przyszłości nadzieje? Z tą dumą na czole,
Czemuś mnie gwałtem twojej nie porwał potęgi
I z błękitów słonecznej nie zrzucił mi wstęgi,
Abym za marnych cacek nie tęskna ozdoba,
Jak Beatryksa twoja w kraj światła szła z tobą?
Czemu, czemu Kaźmirzu? Wszak Bóg stworzył dwoje,
Aby szło przez żywota radości czy boje;
A jeżeli duch, co dostał siły pomazanie,
Sam jeden tam, przed bożym majestatem stanie,
Czyż Pan skrwawione jeszcze podnosząc ramiona,
Nie zapyta go wtedy: a ona, a ona?
Która kochała przecież? O biada nam! biada!
I temu co nie podniósł, i tej co upada;
Biada nam! dzisiaj nasze rozchodzą się drogi.
Bądź zdrow, mój ideale piękny! śnie mój błogi!
Bądź zdrow! bądź zdrow Kaźmirzu!.. Lecz nie!

[nie! nie mogę]
Słowa tego wyplakać! Ratuj mnie nieboga!
Ratuj! z czoła mi zerwij piętno zaprzędané,
Widzisz! widzisz! ja ślaba!.. ratuj ukochany!

KAŹMIRZ.

Tak! tak! o droga moja! we mnie moc i siła,
We mnie dzielność być musi, by dwoje zbawiła.
Tak! o moję pierś wsparta, męstwem mojem zbrojna,
Piękna bo kochająca, jasna i dostojna,
Chodź ze mną w świat ofiary, walk, pracy i trudu;
Chodź ze mną, jak mój anioł wołający cudu!
(*chwytając ją w objęcia*).

(*W czasie ostatnich słów Kaźmirza, major staje we drzwiach głównych, za nim pułkownikowa*).

Scena IV.

Ciż, MAJOR i PUŁKOWNIKOWA.

MAJOR (*z filuternym uśmiechem*).

A... pan radca troszeczkę zapóźnił się może,
Cóż mościa dobrodziejko?..

PUŁKOWNIKOWA (*zakłopotana*).

Helenko! mój Boże!..

HELENA.

Matko! o matko moja! daruj, ja szczęśliwa
Jak niewolnica, która nagle jarzmo zrywa,
Jak niewolnica, która zrzuca płaszcz sromoty,
Zrzuca kajdany swoje... Tak, pękł łańcuch złoty
Co mnie więził nieszczęsną w złud i próżni kole.
Matko moja! dłoń twoją połóż mi na czole,
Pobłogosław mi matko!

KAŹMIRZ.

Błogosław nas dwoje,

I krzyż zakresł nad nami—bo ja dziecko twoje
Biorę z sobą na życie pracy i ofiary,
Na życie obowiązku. Duch przeszłości staréj
Niech się z ust twych odezwie tej tradycyi słowem,
Co strażnicą na progu siadała demowym,
I córkom ziemi naszej nie sztuczny blask kwiatku,
Nie koronę szychową podawała w spadku,
Ale wiarę i miłość, pracę i wytrwanie.
Tak, błogosław nas matko!..

MAJOR.

Amen! niech się stanie...

Niech się stanie, mój chłopcze: z cichéj łzy chryzmatem
Matka już wam krzyż dała—idźcie bożym światem,
Idźcie młodzi i silni, a w tę drogę pono
Nie trzeba wam karetę ze złotą koroną,
I aksamitem słanych poduszek nie trzeba.
Stary wiarus za wami wzniesie wzrok do nieba
I powie, szczęść im Boże... Lecz tful człowiek ino
Gotów tu zabić z wami! (*ociera łzę*) Bukietów
[dziewczynol]
Przecież ja družba jestem... No, śmiało i zwawol..

Radcę biorę na siebie.—Potém marsz i w prawo
Do kościoła, przed ołtarz.—Mościa dobrodziko!
Choć na to weselisko ruszym moją bryką,
Jeszcze to, Bogu chwala, nie tak zle się dzieje,
Dopóki serca dzieci naszych miłość grzeje.

(*Zasłona zapada*).

K O N I E C .

WYNAŁAZKI I ULEPSZENIA.

Jest u nas zadawniale mniemanie, wyznawane dotychczas z zadziwienia godnym upotem, iż usposobienie naszego słowiańskiego umysłu nie sprzyja czynieniu odkryć i wynalazków potrzebujących głębszego zaciekania i badań naukowych. Virej, ów sławny historyk naturalnych przymiotów rodu ludzkiego, nie wahał się twierdzić, że przywilej pierwszeństwa i zręczności w sztukach mechanicznych, rzemiosłach i kunsztach, należy wyłącznie do narodów romańskich. Historia nawet umiejętności ścisłych i wynalazków zdaje się dowodzić tej prawdy, gdyż na jej kartach zaledwie z kilkoma spotykamy się nazwiskami, których rodowód słowiański żadnej nie ulega wątpliwości. Mimo jednakże owych mniemań i świadectw historyi, my odważylibyśmy się zaprotestować przeciwko takiemu pojnowaniu rzeczy. Nie myślimy przeczyć iż dotychczas bardzo mało uczyniliśmy dla nauk ścisłych i przemysłu ogólnego; zgadzamy się że statystyka wynalazków naszego kraju nie może wytrzymać żadnego porównania z krajami Zachodu; lecz nie przeszkadza nam to przeczyć, aby przyczyną tego miała być niezdolność nasza do samodzielnych wynalazków. Inne są tego powody, a ci którzy wyrokują według liczb statystyki, mylą się i uwodzą, liczba tu bowiem nic nie znaczy. Wielkie wynalazki, stanowiące erę dla ludzkości, wszędzie są wyjątkami. Tylko te drobne, ciągle ulepszenia, udoskonalenia, zastosowania praw nauki do praktyki, stanowią owę potęgę, ów postęp zachodniego przemysłu. Najdrobniejsza myśl, uwaga mało na pozór znacząca, chwytana jest tam i pielęgnowana z troskliwością, z zajęciem. U nas działo się dotąd przeciwnie; małe wynalazki i ulepszenia nikogo nie obchodziły; nie pojnowaliśmy ich ważności, a ograniczony ruch przemysłowy, szczerple pole działania i zastosowania wynalazków było powodem, iż wiele z nich zamierało, dla braku odpowiednich środków rozwinięcia. Dlatego też aby nas zająć, potrzeba było zadziwić. Paradoks przedęj doznawał współczucia i zwracał uwagę, niż najistotniejsza a skromna prawda. Młody nasz umysł szuka w wynalazkach jakiejś cudowności, jakiegoś, że się tak wyrazim, mistycyzmu. Powoli jednak, powoli zmienia się postać rzeczy i u nas; zaczynamy coraz więcej cenić drobne wynalazki i ulepszenia, byleby te odpowiadały istotnym naszym potrzebom, a wtedy nie brak i zainteresowania się w naszej publiczności. Świeżym tego przykładem jest machina do karczowania, wynalazku p. Wagnera z Lublina. Próby z nią odbywane w Łomiankach pod Warszawą, ściągęły mnóstwo widzów, pragnących uczestniczyć nietylko popisowi, ale upewnić się czy wynalazek rzeczywiście w praktyce da się zastosować. Po naocznym upewnieniu się o tém, po przychylném odezwaniu się gazet, obywatele posiadacze lasów pilnie się dopytują, gdzie można tej maszyny dostać i pod jakimi warunkami, aby rozpocząć z nią pracę. A jest nad czém chwala Bogu pracować, nieogłędne bowiem gospodarstwo lesne w wielu miejscach pozostawiło obszerne przestrzenie zawalone pniakami i korzeniami, a zatém zmienione w nieużytek i luźne pastwisko, co przeszkadza powtórnemu naturalnemu obsianiu się lasu, lub przemienieniu gruntu na pole rodzajne. Kosztowność rudunku była dotąd najważniejszą przyczyną pozostawiania odlogiem znacznych częstokroć przestrzeni. Machina p. Wagnera usuwa tę trudność, przestępuje bowiem kształtu i konstrukcyi niezłożonej, kosztuje cała 2700 zł. p.; przy użyciu na miejscu wymaga dwóch ludzi i dwóch par wołów, a zdolna jest dziennie wyrwać z korzeniami 30 drzew grubszych nad dwie stopy; do drzew cieńszych używa się jedna para wołów, a do krzaków kilku-calowej średnicy ręka ludzka jest dostateczną. Maszyną tą można wyrwać i całkowite drzewa, w miejsce ich wyrębywania, a tym sposobem otrzyma się grunt czysty i przygotowany do dowolnego użycia. Koszt maszyny i jej działania sownie opłaci przybytek kilku łokci drzewa na sztuce, dziś marnowanych przy wyrębywaniu i pozostawianiu pniaków. Opisować bliżej wynalazku p. Wagnera nie będziemy; próby wyrzekły o jego użyteczności, potrzebującym więc należy udać się do biura warsztatów żeglugi parowej, gdzie te maszyny

się wyrabiają, lub też do samego wynalazcy (w aptece p. Koppego przy ulicy Nowy świat w Warszawie) (1).

Ponieważ nie zakreślił sobie żadnego systemu, wolno nam przeto przejść z kraju naszego, znajdującego się na dość niskim szczeblu przemysłowości, do kraju gdzie wynalazki i ulepszenia najszersze znajdują zastosowanie: do Anglii. Tam machina p. Wagnera nie zwróciłaby już niczyjej uwagi, bo i niema miejsce któreby karczować trzeba; ale za to niemało zaciekawienia stał się powodem przyrząd mający na celu ułatwienie przesyłek pocztowych po Londynie, a później może i po całej Anglii. Dla samych doświadczeń nad tym wynalazkiem utworzyła się tam kompania pod tytułem: *Pneumatic Dispatch Company*, a na czele jej stoją ks. Buckingham i wielu uczonych angielskich. Oto co w tym względzie pisze nam jeden ze znajomych zamieszkały w Londynie.

„W tych dniach byłem zawezwany dla towarzyszenia pierwszym próbom przesyłania listów i pakunków drogą podziemną, w urządzonych czasowo ku temu rurach. Rura miała długości 450 jardów i leżała częścią pod ziemią, częścią na jej powierzchni. Składała się ona ze stawów żelaznych po 10 stóp wagi jednego tona, nitowanych ołowiem. Rury te mają kształt półokrągły, w przecięciu zaś dają zarys podkowy. Wysokość ich wewnątrz wynosi 33 cali, a szerokość 30 cali. U dołu, na płaszczyźnie stanowiącej podstawę, z obu stron są żelazne wzniesienia, po których chodzą wagony z ciężarami, jak po railsach. Wagony te mają długość ośmiu stóp i są wyrobione z żelaza, o czterech kołach 20 cali średnicy mających; wielkość więc ich jest tak zastosowaną, że ile możności napelniają sobą wnętrze rury, dotykając się ścian jej tylko kołami. Dwa wagony, naładowane workami piasku i kamieniami, wprowadzono w rurę; na dany znak poruszyły się naprzód, a z rury usłyszeliśmy szum podobny do grzmotu. Po 30 sekundach nastąpił odgłos jakby wystrzałowy, oznajmujący iż ładunek znalazł się na przeciwnym końcu rury; przyczyną huku było zamknięcie rury na przeciwnej stacji. Kiedy wagony przybyły nazad, korespondent nasz zaproszony został do odbycia podróży, podobnie jak i inne pakunki. Pomieściłem się w wagonie dość wygodnie, razem z drugim jęmością. „Puszczaj!” zawołał na robotników dyrektor, i ruszyliśmy w drogę. Oddech nasz nie był tamowanym ani ciężkim, a szum powietrza w bliskości nie jest tak strasznym, jak się wydawał zewnątrz rury. Lekkie ciśnienie na organ słuchu, oto cała nieprzyjemność podróży... Zresztą nie ma się nawet czasu doświadczyć nieprzyjemności, tak szybko staje się do celu. Ruch wagonu początkowo był wolny, następnie zwiększył się, i przejechalimy 1/4 mili w 45 sekundach (2).

„Zasada tego przyrządu bardzo jest prosta, składa się bowiem z koła obracanego z niezmierną szybkością i wypychającego powietrze. Przy mnie obróciło się ono 180 razy na minutę, lubo obrót może być doprowadzony do 200 razy, bez żadnej zmiany w budowie maszyny. Koło główne składa się z trzech cienkich płatów metalowych, z których dwa mają po 24 stóp średnicy, a trzeci 17. Największa siła ciśnienia tym przyrządem w mojej przytomności wywarła wynosiła 4 uncje na cal kwadratowy. Szybkość ruchu jaką uzyskać można, dochodzi do 40 mil na godzinę. Co się tyczy podróżowania ludzi tą drogą podziemną, rzecz to niepraktyczna, chyba że będą urządzone wielkie tunele; ale listy i posyłki w ten sposób rozsyłać będą po całym Londynie. Pierwsza rura ma być założoną między główną ekspedycją poczt, a zachodnim jej kantorem.“

Oto są dzieje najświetniejszego wynalazku angielskiego. Z umysłu postawiliśmy przy sobie dwa fakty, jakimi są: machina karczunkowa p. Wagnera i rury podziemnej ekspedycji w Londynie, aby pokazać różnicę w kierunku rozwoju wynalazków w naszym ubogim kraju i w Anglii, mistrzyni w sztukach mechanicznych.

KOMMUNIKACJE, PRZEMYSŁ I HANDEL.

Kommunikacje telegraficzne w ogólności, a mianowicie w królestwie polskim.

Elektro-magnetyzm, to dziecie prac XVIII stulecia, zrodzone w pierwszych latach obecnego wieku, wy-

(1) Niedawno w kronice tygodniowej naszego pisma wspomnieliśmy o machinie p. Wagnera w sposób żartobliwy; żart ten atoli nie odnosił się do samego wynalazku, lecz wymierzony był raczej przeciw nieogłędnemu w kraju naszym gospodarstwu leśnemu. (Przyp. redak.)

(2) Fakt powyższy podajemy na wiarę naszego korespondenta, nie przyjmując za to na siebie odpowiedzialności, czyli cała ta podróż nie jest mistyfikacją. (Przyp. autora).

chowane i wyrosłe w oczach naszych na dojrzałego męża, jest jednym z wynalazków, co przyniosą chwałę i zaszczyt ludzkości, o wiele lat naprzód posuwają postęp nauki i odkrywają tyle dróg nowych w dziedzinie wiedzy, że dotąd niepodobna obliczyć całej korzyści jaką z nich przyszłość odniesie.

Ze znanych wynalazków żaden nie rozwinął się z tak bajeczną szybkością, jak telegrafy elektro-magnetyczne. Bezwątpienia wiele drobnych ulepszeń i korzystnych zastosowań zrobić w nich jeszcze będzie można, ale jądro zasady pozostanie niewzruszonem, bo tam już nic zmienić nie można. Pewien znakomity współczesny inżynier, mówiąc o przyszłości lokomotyw na kolejach żelaznych, wyraził się w ten sposób: „W maszynie wszystko może być zmienionem, lecz system kół popy tuż sam pozostać musi, póki użycie szyn nie da się usunąć, albo wcale czem innem zastąpić.“ Toż samo dałoby się powiedzieć o przyszłości telegrafów, bo tylko wtedy zmiany zająć w nich mogą, gdy użycie drutów jako przewodników stanie się niepotrzebnem. Cokolwiekby, zadziwiający postęp w rozwoju telegrafów jest faktem tak znakomitym, że o nim bez zdumienia wspomnieć niepodobna.

Zamiarem niniejszego artykułu jest danie krótkiego obrazu tego, co u nas w kraju pod tym względem zrobiono, co się obecnie robi, albo na przyszłość proponuje. Szczupły zakres ram tego sprawozdania, nie pozwala na rozwinięcie przedmiotu tak obszernie, jak na to zasługuje; ograniczyć się więc musimy na prostym niemal zestawieniu statystycznym.

W 1852 roku pierwsza linia telegrafu elektro-magnetycznego pomiędzy Warszawą a stacją Granica zbudowana została. Na linii tej otwarto pięć stacji telegraficznych, zaopatrzonych w aparaty systemu amerykańskiego profesora Morse, wyrobione i ulepszone w zakładach p. p. Siemens i Halske w Berlinie.

Te pięć stacji są następujące:

1. Warszawa, stacja w dworcu kolei żelaznej.
2. Skierniewice.
3. Piotrków.
4. Częstochowa.
5. Granica.

Tak budowę tej linii, jakoteż konserwacją i dostarczenie potrzebnych aparatów i narzędzi, powierzono p. p. Siemens i Halske, którzy później pierwsze linie pobudowali i w cesarstwie.

Jednocześnie z budową tej linii, idącej wzdłuż kolei żelaznej i na tychże samych słupach, zawieszony został drugi drut dla aparatów skazówkowych, konstrukcyi wymienionych p. p. Siemens i Halskego, który połączył z sobą wszystkie pośrednie stacje drogi żelaznej i tym sposobem 21 stacji telegrafu skazówkowego otwarto li tylko dla użytku drogi żelaznej, głównie dla meldowania przychodu i odchodu kursujących pociągów. To była pierwsza linia zbudowana w królestwie polskim, najdawniejsza i dotąd w tymże składzie utrzymywana.

W 1853 roku rozpoczęto budowę pierwszej linii pomiędzy Warszawą a Petersburgiem. Ponieważ obecnie wszystkie istniejące w kraju naszym linie należą do departamentu komunikacji lądowych i wodnych w Petersburgu, przy którym jest urządzone oddzielny zarząd telegrafów, przeto chcąc dać obraz kolejnego rozwoju budowy linii telegraficznych u nas, nie możemy dokonać tego, bez poprzedniego rzutu oka na komunikacje telegraficzne w cesarstwie, z któremi linie królestwa są bezpośrednio połączone.

W tej chwili jest otwartych i czynnych 449 stacji, wszystkie zaopatrzone w aparaty systemu Morsego, konstrukcyi Siemens i Halskego. Kierunki tych linii są następujące:

Z Petersburga przez wszystkie pośrednie porty morza bałtyckiego do Pruss; punkt zetknięcia z zagranicą Połaga (Polangen).

Z Petersburga przez Kowno do Pruss; punkt pograniczny Eitkuny (Eidkuhnen), z boczną linią do Wierbołowa.

Dwie linie z Petersburga przez Kowno do Warszawy. Z Petersburga przez Finlandyą do Szwecji; punkt pograniczny Torneo.

Z Petersburga z pałacu zimowego przez Peterhof (Aleksandrya) do Kronsztadu i druga z pałacu admiralicyi do Kronsztadu (podmorskie).

Z Petersburga przez Carskie-Sioło do Peterhofu i Gaczniny.

Z Petersburga do Nowgorodu (Wielkiego).

Z Petersburga wzdłuż jezior Ladogi, Onegi, Białego jeziora przez Jarosław do Moskwy, z bocznymi liniami do Rybińska i Kostromy.

Cztery linie z Petersburga do Moskwy, wzdłuż drogi żelaznej nikolajewskiej.

Z Dynaburga przez Mohilew do Bobrujska, z boczną linią do Smoleńska.

Z Dynaburga przez Rygę do Mitawy.

Z Kowna przez Wilno do Bobrujska.

Z Warszawy do Kowna, z boczną linią od Suwałk do Grodna.

Z Warszawy przez Granicę do Austrii; punkt pograniczny Szczakowa.

Z Warszawy przez Granicę do Pruss; punkt pograniczny Mysłowice.

Z Warszawy przez wszystkie stacje kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej do Granicy, z boczną linią od Żabkowiec do Sosnowiec.

Dwie linie z Warszawy do Pruss przez Płock; punkt pograniczny Toruń.

Z Warszawy przez Brześć litewski do Żytomierza.

Z Moskwy przez Niżnyj-Nowgorod i Kazań do Saratowa (ostatni punkt europejski na granicy Azji).

Z Moskwy przez Kijów i Kremeńczug do Nikolajewa.

Z Moskwy przez Kremeńczug do Nikolajewa, z boczną linią z Kremeńczuga do Jekaterinosławia.

Z Moskwy przez Riazan i Kozłów do Saratowa, z boczną linią z Kozłowa do Tuly.

Z Nikolajewa przez Rostów do Nowo-Czerkaska (ostatni punkt w kierunku Kaukazu).

Z Nikolajewa przez Symferopol do Liwadii w Krymie.

Z Nikolajewa przez Odessę i Żytomierz do Austrii; punkt pograniczny Radziwiłłów.

Z Nikolajewa przez Odessę do Kiszieniewa.

Z Żytomierza do Kijowa.

To są kierunki już istniejących linii, a prócz tego wiele nowych jest w budowie i na dawnych nowe stacje w miarę potrzeby są otwierane.

Przedstawivszy ogólny rys komunikacji telegraficznych, wracamy do głównego założenia artykułu.

Królestwo polskie posiada dziewięć linii telegraficznych w promieniach od Warszawy, oraz stacją centralną w zamku warszawskim.

W roku bieżącym otwarto dwie linie przez Modlin, Płock i Lubicz do Torunia, w skutek czego komunikacja telegraficzna do Pruss została skróconą, a ztąd taksa depesz zagranicznych uległa znakomitemu obniżeniu. Obecnie buduje się nowa linia z Warszawy przez Brześć litewski do Bobrujska, z zamiarem bezpośredniego połączenia z Moskwą. Na rok przyszły proponowaną jest budowa linii z Warszawy przez Radom i Puławy do Lublina, ze stacjami w Lublinie i Radomiu; brak bowiem komunikacji tych miast ze stolicą ogromnie uczuwać się daje.

Do obecnej chwili oddział warszawski liczy 45 czynnych stacji, a mianowicie:

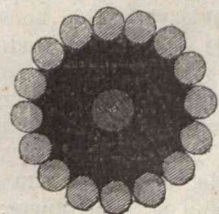
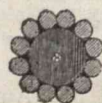
- 1) Stacja centralna w Warszawie w zamku.
- 2) Stacja w dworcu kolei żelaznej.
- 3) Skierniewice.
- 4) Łowicz.
- 5) Piotrków.
- 6) Częstochowa.
- 7) Granica.
- 8) Sosnowce.
- 9) Modlin.
- 10) Płock.
- 11) Lubicz.
- 12) Łomża.
- 13) Suwałki.
- 14) Grodna.
- 15) Brześć litewski.

Z istniejących już dotąd linii i kompletujących się nowych widać, że wszystkie miasta gubernialne wędą w połączenie z Warszawą, przez co znakomitą korzyść kraj cały uzyska. Prócz tego na przyszłość pozostaje jeszcze pobudowanie linii do większych miast fabrycznych i nadgranicznych, jak np. Kalisza, co także leży w bliskim zakresie urzeczywistnienia.

Jak wszędzie tak i u nas budowa linii telegraficznych znajdowała znaczne trudności, mianowicie w przeprowadzeniu linii druczianych podwodnych (cable). Komunikacje te podwodne urządzone są przez Wisłę, Narew i Muchawiec w kilkunastu miejscach. Zapuszczone kable są rozmaitej konstrukcyi i grubości, jak dołączone tu rysunki przecięć (wielkości naturalnej) czterech użytych u nas kabli wskazują.

Nr. I.

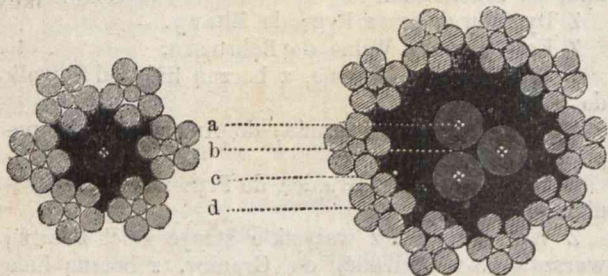
Nr. II.



Przez Narew pod Modlinem. Przez Narew pod Zegrzem.

Nr. III.

Nr. IV.



Przez Wisłę pod Warszawą.

Objaśnienia.

- Przewodniki miedziane.
- Pokrycie z guttaperki.
- Pokrycie z konopi w smole ziemnej gotowanych.
- Druty żelazne zewnętrznie zabezpieczające.

Liny podwodne przymocowane są do dna rzeki za pośrednictwem kotwic żelaznych z łańcuchami (przeszło 100 funtów wagi), w odległości stu łokci jedna od drugiej.

Dla dopełnienia ogółu komunikacji telegraficznych w królestwie, nadmieniam wypada, że na nowo budujących się drogach żelaznych, jakoto: między Żabkowicami i Sosnowcami, na przyszłej kolei żelaznej bydgoskiej, między Łowiczem i Aleksandrowskiem, oraz na kolei warszawsko-petersburgskiej pomiędzy Pragą, Białymstokiem i Grodnem, znaczna liczba drobnych stacyj się otwiera, które służą w części samej drodze żelaznej, a w części na użytek publiczny są oddane, jak np. na otwartej już odnodze żabkowicko-sosnowickiej.

Ogólny stan komunikacji telegraficznych w królestwie polskim w drugiej połowie bieżącego roku jest następujący:

Liczba stacyj związkowych 45.

Długość linii telegraficznych 169,5 m. geogr.

Ogólna długość przewodnika 360,2 m. geogr.

Aby dać obraz stanu komunikacji telegraficznych w środkowej Europie i miarę do porównania, damy tu wyciąg z niemieckiego czasopisma p. t., *Zeitschrift des deutsch-oesterreichischen Telegraphen-Vereins. Jahrgang VIII. Heft 1, 2 3, 1864.*

Z początkiem bieżącego roku było:

	Stacyj związkowych.	Długość linii w mil. geogr.	Ogólna długość przewodnika w mil. geo.
W Austrii	188	1726,8	2715,9
„ Prussach	120	1038,1	2988,2
„ Bawaryi	38	274,8	656,1
„ Saksonii	27	137,9	203,9
„ Hanowerze	30	164,7	315,7
„ Niderlandach	54	204,0	476,5
„ Wirtembergu	30	116,6	170,6
„ Meklenburgu	13	50,8	60,3
„ Baden	45	153,4	282,2
W ogóle stacyj	545	3864,4	7869,4 m. g.
W początku 1860 r. było	480	3532,8	6104,0 „ „
A więc w ciągu tego roku przybyło	65	331,3	765,4 „ „

Z porównania z państwami wchodzącymi w skład niemiecko-austriackiego związku telegraficznego pokazuje się, że królestwo polskie zbliża się najwięcej liczbą stacyj do Meklenburga, a długością linii i przewodnika do Hanoweru, a nawet je znakomicie przynosi.

Z zamierzonych na przyszłość komunikacji telegraficznych, najwięcej budzi zajęcia połączenie Europy z Ameryką. Ponieważ nie udało się przeprowadzenie kablu podmorskiego pomiędzy Anglią a Stanami Zjednoczonymi i niewiadomo jak długo jeszcze czekać do nowej na tej drodze próby, przeto sądzimy że dla czytelników nie będzie obojętną wiadomość, co się na tej drodze dokonywa.

Zaraz po pierwszym niepowodzeniu połączenia transatlantyckiego, oczy wszystkich zwróciły się na wyszukanie innej, dogodniejszej drogi. Wzrost komunikacji telegraficznych w Rosyi i świeże wcielenie do niej prowincyi Amuru, zwróciły uwagę ogólną na to, że ten a nie inny punkt byłby najdogodniejszym dla amerykańskiej komunikacji. Zarząd komunikacji lądowych i wodnych podjął tę myśl, a w jaki ją sposób przeprowadza, widzimy z następującego zawiadomienia, zamieszczonego w powyżej wspomnianym niemieckim czasopiśmie:

„W nowszych zdobyczach Rosyi nad Amurem linie telegraficzne bardzo rozległe się budują. Kierunki tych linii są następujące:

„Linia z Nikolajewska, przy ujściu Amuru, do Castris-Bay, idąca wzdłuż biegu dolnego Amuru przez Sofijsk aż do Habarowska (nowo-osiedlonego punktu w bliskości ujścia Ussuri), tam gdzie bieg Amuru na północ się kieruje i ztąd wzdłuż Ussuri przez Sungaczanę do portu nowgorodzkiego nad Victoria-Bay. Dalej: boczna linia z Sofijska do Hungari.

„Budowę rozległej sieci telegraficznej, mającej łączyć linie europejskie z liniami Amuru, ces. ros. ministeryum dróg i komunikacji samo przedsięwzięło. Te już nawpół zaczęte linie, otrzymają oddzielny od europejskich zarząd. Wychodzą one z Tjumen (punktu na pograniczu Rosyi europejskiej i Syberyi), który jest w połączeniu z Kazaniem za pośrednictwem linii telegraficznej wzdłuż drogi pocztowej przez Perm, Kungur, Jekaterinburg i Kaniczlow idącej, z bocznymi liniami do Irbit i Wijatki. Z Tjumen ta linia jeszcze w ciągu tego roku, w ogóle po drogach pocztowych, przez Jalutorowsk, Iszim, Tinkalinsk aż do Omska ma być doprowadzoną. W następującym roku dalszy ciąg budowy wzdłuż Omy do Kainska, a ztąd przez Ibinskoje, Koływan, Tomsk, Aczyńsk, Krasnojarsk nad Jenisseją, Kańsk, Berjuzińsk i Niżni-Udińsk do Irkucka nad rzeką Angarą jest zamierzony. Z Irkucka linia około południowego brzegu Bajkału do Werchnie-Udińska prowadzona będzie, ztąd zaś pojedź oddzielna boczna linia, wzdłuż rzeki Selengi do Kijachty. Dalszy ciąg, głównej linii bieży z Uda przez góry dauryjskie do Nerczyńska, ztąd przez Ticzinskoj wzdłuż rzeki Szilka aż do jej ujścia do Sachaljan i wzdłuż rzeki Sachaljan przez Błahowieszczenk (Sachaljan-ula-choton) i Anguni, dobiega połączenia z liniami Amuru przy Habarowsku.“

Olbryzmia ta linia pomiędzy Kazaniem a Nikolajewskiem, obejmująca przeszło 90 stopni geograficznych, na wykonanie której przynajmniej 5 lat czasu potrzeba, jest zaledwie mniejszą połową zamierzonej amerykańskiej komunikacji. Czy wybudowanie drugiej połowy, mianowicie rzucenie kablu przez morza ochockie i Beringa, oraz część Wielkiego oceanu, nie przedstawi podobnychże co na Atlantyku trudności, to jest rzeczą czasu i przyszłości, która jedynie wyświecić to może.

Cokolwiekby, w ciągu lat następnych, jeśli nie z Ameryką, to przynajmniej z tak odległymi krańcami Azji jak Amur, znosić się będzie można. Budowa linii na południu Europy, również korzystne przedstawia rezultaty. Mamy stałe i utrwalone połączenia z Afryką (przez Korsykę i Sycylię do Bona w Algierze), z Azyą przez Chio (na Archipelagu) do Smyrny, a prace nad komunikacjami telegraficznymi Indyj, posuwane są z wielką szybkością.

Dla ciekawości przytoczymy tu jeszcze krótką wiadomość o telegrafach niderlandzko-zachodnio-indyjskich, według ostatniego sprawozdania z 1859 roku. Do końca tego roku na wyspach Sumatra, Jawa i Banka istniejący telegraf liczył 28 stacyj, z ogólną długością linii 3779 kilometrów, a całą długością przewodnika 3833,38 kilometrów. Główne kierunki linii lądowych i podmorskich są:

Z Batawii (wyspa Jawa) do Muntok na wyspie Banka.

Z Muntok do Palembang na wyspie Sumatra — i z Muntok do Singapore na półwyspie Malacca (stałego ładu azjatyckiego).

W tymże roku załatwiono na tych liniach 34202 depesz, wartości 140,907 fl.

Pod względem nauki, telegrafy także oddają niezmiernie usługi, zwłaszcza dla meteorologii są skarbem nieopłaconym. Rzecz ta atoli spoczywa jeszcze w rękach uczonych Zachodu, mianowicie Anglii, Francji i Niemiec, którzy od czasu do czasu robią zjazdy w oznaczonych punktach, dla komunikowania sobie spostrzeżeń i odkryć zdobytych na polu nauki, oraz dla wykonania na liniach telegraficznych potrzebnych doświadczeń. Taki zjazd ostatnio miał miejsce w Manchester, 7 kwietnia b. r., o pracach którego pisma czasowe zapewne obszerniejsze sprawozdania podadzą.

Dla takich zjazdów w oznaczonym terminie wszystkie linie telegraficzne są do rozporządzenia. W obec powagi nauki, miłką namiętności polityczne i indywidualne; wszystkie rządy ofiarują swą pomoc i nie było dotąd przykładu odmowy.

Niniejszy artykuł zakończamy wzmianką, że pod względem stosunków między-narodowych telegrafy dla badacza przedstawiają nadszyczą zajmujące rezultaty, co tu, dla szczytowości miejsca i zakresu artykułu, opisanem być nie mogło, o czem jednak w przyszłości obszerniej traktować zamierzamy.

H. J. Grabowski.

Jako dopełnienie artykułu o Kamieńcu podolskim, niedawno w piśmie naszym zamieszczonego, przystaniam z Wołynia następującą wiadomość o znajdującym się tamże kościele ks. trynitarzy, z prośbą o wydrukowanie.

Kościół księży trynitarzy, po śmierci pierwszego swego fundatora Chocimirskiego, przez niedostatek funduszy został w najopłakaniejszym stanie. Dopiero w roku 1765 dzwignął go i odnowił Wojciech Raciborowski chorąży podolski. W podziemnych lochach kościelnych znajdują się złożone zwłoki obu żon chorążego podolskiego, pierwszej Agnieszki z Lipińskich, córki halickiego kasztelana, a drugiej Teresy z Grocholskich, córki wojewody braclawskiego. Lecz nie sama tylko pobożność, tak właściwa przodkom naszym, natchnęła chorążego podolskiego myślą fundowania kościoła ks. trynitarzy. Raciborowscy herbu Jelita, młodsza linia dawno zgasłego domu tegoż nazwiska, pieczętującego się Jastrzębim, pisali się od wieków na Raciborowiczach, a możni byli stosunkami i koligacjami z Odrowążami, Trzebińskimi, Herburkami, Lubieszowskimi i t. p. Jak każden ród szlachecki, z młodości swęj pilnowali granic rzeczywolitej. Ludzie rycerskiego ducha, nie dbając o senatorskie krzesła, całe życie trawili na koniu, w wiecznym boju z nieublaganym wrogiem chrześcijaństwa. (1) W roku 1685 Jakub Raciborowski, starosta bendziński i rotmistrz chorągwi hussarskiej, dostawszy się do niewoli, szesnaście lat przejeżdżał w kajdanach mużmańskich, i dopiero wykupionym został przez wędrującego trynitarza. Uczynił tedy ślub fundowania tego zakonu za powrotem do kraju; ale śmierć nagła nie dozwoliła mu dopełnić tego zamiaru. Testamentem nakazał wykonanie jego synowi swemu, Józefowi Raciborowskiemu, spłodzonemu z Rosnowskiej, pochodzącej ze starożytnego księżęcego Rosnowskich domu. (2) Lecz wnuk dopiero rzeczony starosty potrafił wypełnić wolę dziada, uposażając kościół ks. trynitarzy w Kamieńcu podolskim, jak to widać z oryginału summy zapisowej, znajdującego się w aktach kościelnych, a podpisanych po łacinie: Adalbertus Comes de Raciborowice Raciborowski, vexilifer Dumanovien-sis, Lysiensis, capitaneus in Makow, haeres et dominus. Anno domini 1765.

Strzemięczyk.



Panu J. B. w Rossieniach. Redakcyja starać się musi o urozmaicenie swego pisma, ale dogodzić wszystkim niepodobna. Jedni powstają przeciw opisom i rycinom gmachów, zamków i ruin, nazywając je martwymi; drudzy znow wrażliwi w nich upatrują wartość i zasługę Tygodnika. Jednakże pismo z natury swojej przeważnie beletrystyczne, nie może poprzestawać na samej tylko archeologii, a dobre powieści i komedye tendencyjne są w niem zupełnie na swoim miejscu. Mamy nadzieję że po przeczytaniu prac zapowiedzianych, zmienisz pan zdanie i nie przyjmiesz ich obojętnie. Fotografiją w raz z opisem kościoła ks. dominikanów rossiejskich otrzymaliśmy i zrobimy z nich użytek ile być może najwcześniej.

Panu J. E. w Warszawie. Więsz p. t. Pielgrzym, jakkolwiek nie bez zalet, w Tygodniku drukowanym nie będzie.

Panu A. K. w Augustowie. Nie rozumiemy dobrze o co rzecz idzie: czy o ramę, to jest o zewnętrzne otoczenie ołtarzyka, czyli też o sam obraz. Po otrzymaniu bliźszego objaśnienia, chętnie uczynimy co będzie w naszej mocy.

Panu E. w Zastawiu. Gorszące zajęcie w domu p. B. przejęło nas oburzeniem. Nie wątpimy o prawdziwości faktu; podnieść go jednak w piśmie naszym nie możemy. Są to tajniki życia rodzinnego, których zasłony publicznie uchylać się nie godzi.

Panu J. K. upraszamy o doniesienie nam, których mianowicie brakuje mu numerów Tygodnika, a wtedy postaramy się życzeniu jego zadosyć uczynić.

Bezimiennego autora bajki p. t. „Pająk i jaszczurka“ zawiadamiamy, że takowa w piśmie naszym drukowaną nie będzie.

Panu Wł. J. w Nowomirgorodzie upraszamy o wiadomość, czy nadesłany przez niego rysunek, wyobrażający Teofilę Sobieską modlącą się z synami w kościele w Żółkwi, jest kopią znajdującego się tamże obrazu, — o czem w dołączonym artykule żadnej niema wzmianki. Od wczesnego odebrania tej wiadomości, zależyć będzie rychło pomieszczenie rzeczonygo rysunku w naszym Tygodniku.

(1) Długosz, Szajnocha, a wreszcie Bielski w Bibliotece polskiej wydania Turowskiego, na karcie 287 wspomina Jakuba z Raciborowicz, sandomierskiego kasztelana, który zginął w bitwie pod Chmielnikiem w 1241 roku.

(2) O Rosnowskich jako o pochodzących z książąt ruskich, powiada Paprocki w swem „Gnieździe cnoty.“